Cena 4 Zł

Wieś

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ROK II. Łódź, dnia 16 września 1945 r. Nr 9 (16)

JAN SZCZEPAŃSKI

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ

„Zanim przyjdzie zima, chłop ziemię otrzyma..." takie było hasło, które we wrześniu i październiku 1944 roku pojawiło się na płotach, murach, afiszach całej ówczesnej Polski wyzwolonej — w Lubelszczyźnie, w Białostockim, w Rzeszowskim i Warszawskim; powtarzało się na łamach dzienników, brzmiało w głośnikach radia „Lublin", widniało na ścianach biur i urzędów. Rozpowszechniło się ono, żartobliwie powtarzane, lub przez przeciwników ironicznie przytaczane, i po miastach, i po wsiach; i nie było Polaka, chłopa czy urzędnika, mieszczucha i inteligenta, któregoby ten krótki dwuwiersz nie przyprawił o chwilę bodaj zadumy, nawet wtedy, gdy sprawa reformy była mu obca...

A najwięcej — oczywiście — myślał chłop. To obce słowo, z łaciny pochodzące — REFORMA — od dawna było mu znane... Tak bowiem w czasach naszych nazwano sprawę, któr w średniowieczu nazywała się: wyzwolenie chłopa; potem nazywała się: uwłaszczenie; jeszcze potem: wyzwolenie od pańszczyzny. Taka bowiem była tysiącletnia walka chłopa o wolność: najpierw musiał zdobyć prawo własności nad swoją osobą, należącą do feodalnego pana, od którego szlacheckiego kaprysu zależało bezkarnie chłopskie życie. Musiał potem zdobyć prawo do lichego kawałka ziemi, którą orał; a potem jeszcze zdobyć prawo do tych swoich dni pracy, które mu pan prawem pańszczyzny odbierał. Ale *ciągle hańba wisiała* nad chłopem, i *ciągle* wyzwolenie nie było ukończone, to wyzwolenie, które niszczy ostatecznie skutki stuleci niewoli, chłopa w dobrobyt zaopatruje, obszarnikowi z ręki *ostatni bicz* na chłopa wyrywa, wyzwolenie, które w naszych czasach nosi nazwę: REFORMA ROLNA.

* * *

Ta „reforma" przez długie lata była mirażem. Była Polska sanacyjna wielkim państwem w Europie, które zwlekało z ostatecznym oddaniem ziemi tym, którym ona należała się po wszelkiej sprawiedliwości ludzkiej, historycznej i boskiej. Że we Francji, Niemczech, Anglii, w innych formach, sto lat temu dokonało się to, co u nas zrealizował dopiero dekret P. K. W. N., o tym chłop dobrze wiedział. Wiedzieli o tym i ci, którzy przez dwadzieścia lat Polską rządzili. Nie mogli też lekceważyć głosu uczonych, pisarzy i poetów, tych demokratycznych wychowawców, którzy od wieku nawołują do zmazania tego ostatniego grzechu, jaki ciąży na narodzie: grzechu wobec biedoty chłopskiej. To też pojawił się wyraz „reforma" na łamach pism, na wokandzie sejmowych obrad, na ustach państwotwórczych mówców. I tyle. Reforma rolna, dziesiątki razy podejmowana, dziesiątki razy zatrzymywała się z coraz to innych przyczyn. I wreszcie stanęło kiedyś wszystko, a słowo „REFORMA" nabrało dla chłopa nowego tonu: goryczy i niechęci.

* * *

I stało się tak, że owa Reforma prawdziwa przyszła do chłopa — niespodziewanie. Przyszła w chwili, gdy naród toczył walkę o istnienie, walkę, w której zapomniano o wielu ważnych rzeczach, jednak mniej ważnych od życia i wolności. W ciągu owych pięciu lat stało się tak wiele, i tak strasznych rzeczy, że reforma zbladła między nimi. Gdy legła w gruzach stolica, budowana przez 800 lat, gdy Polska stała się grobem siedmiu milionów swoich synów, gdy wreszcie w oczach naszych runęło najbardziej zbrodnicze mocarstwo, jakie kiedykolwiek istniało, gdy i u nas zmian tyle zachodziło, że każdy dzień nieomal przynosił nowe uderzające wyobraźnię fakty, gdy wznosiły się zręby nowego państwa, nowego rządu, nowego terytorium, — nic dziwnego, że Reforma nie nabrała tego dźwięku, tego znaczenia, *jakie miałaby w czasach pokoju!* I tu właśnie leży sedno rzeczy.

Bo kraj był straszliwie zniszczony, bo nie było narzędzi, krów i koni, a co jest warta ziemia bez tego? Bo nie było sprawnego aparatu urzędów ziemskich i mierniczych w państwie ledwie wyzwolonym, i dlatego nie mało było błędów. Słyszało się wtedy rozmaite żale. Co nam z reformy — mówili Podhalanie — kiedy u nas i tak ziemi nie ma do podziału? Co nam z reformy — słyszało się w Lubelskim — kiedy ziemi nie starczy, i tylko niektórzy dostali, a i z tych większość nie dostała przewidzianych 5-ciu ha, tylko po 2, 3 i mniej nawet? Co będzie robił wyrobnik, dla którego nadal ziemi nie ma, choć on w pierwszym rzędzie miał prawo ją dostać? Co komu z tej, maleńkiej działki, która nie wiadomo, czy go przy życiu utrzyma, bo nie ma jej czem uprawić? A poco reforma, skoro i tak pojedziemy na zachód i tylko niepotrzebny bałagan z tą parcelacją?

Innym nie podobał się sam projekt reformy. Czemu nowe Państwo Polskie zaczyna od reformy? Czy to najpilniejsze? I co się za tym kryje — czy nie komunistyczne kołchozy? Inni bardziej radykalnie nastawieni narzekali, że reforma częściowo tylko realizuje rewolucję gospodarczą, że nie jest socjalistyczna a „prywatna", że zatrzymana jest w pół drogi. Wiele takich sprzecznych zdań się słyszało.

* * *

Tak się bowiem dzieje, że w ogniu najstraszliwszej z wojen i w hałasie sporów politycznych, „gdy nie z tej strony przyszło to, co przyjść miało", jak mówiło wielu nieprzygotowanych, nie od razu widoczne są skutki tak „drugoplanowego" zdarzenia, jak reforma. ALE DZISIAJ, gdy wojna już odeszła, a w kraju następuje stabilizacja, dzieło reformy dopiero rozpocznie swoje dobroczynne działanie. Jakie ono będzie — to w dużej mierze od nas zależy; niemniej już z tego, co po upływie roku widzimy, możemy wysnuć pewne wnioski.

Oto w dniach ostatnich uchwalono w Jugosławii dekret o reformie. Ale tam zgoła inaczej niż u nas: dekret zakazuje używania ludzkich najemnych sił roboczych w gospodarstwie wiejskim. Jugosławia zniosła instytucję *wyrobnictwa*, nie obszarnictwa. Reforma jugosłowiańska ma większe znaczenie *społeczne, socjalne niż nasza;* zbliża się ona do radzieckiej. *U nas akcent przeniósł się na inny element reformy: na element polityczny.* Reforma może nie dała chłopu ziemi tyle ile potrzebował, (choć dlatego dała ją olbrzymiej większości najbardziej potrzebującej biedniackiej połowie wsi), z drugiej strony może była za mało radykalna i nie obroniła chłopa przed wyzyskiem (zrobi to dopiero Zw. Sam. Chłopskiej). Ale *reforma polska zniszczyła raz na zawsze obszarnictwo,* którego tradycja była przekleństwem naszego narodu. To *był negatywny sens polityczny* reformy, a teraz pozytywny: *reforma była gestem w stronę chłopa,* miała dowieść, że rząd ludowy *na chłopie przede wszystkim się oprze!*

I dlatego: nie wyniki gospodarcze decydują o naszej reformie, lecz sytuacja polityczna jaką ona wytworzyła. W tym tkwi jej rewolucyjny sens: *że była ona gestem budującym lud polski, dającym mu znak, że doszedł do władzy!* Oto dlaczego sens reformy jest może nawet większy, niż gdyby był tylko gospodarczy: reforma ma w sobie żywioł, pasję ludu znagła i ostatecznie wyzwolonego.

I ten właśnie sens poiltyczny naszej reformy, odróżniający ją od jugosłowiańskiej, czeskiej i węgierskiej, sprawia, iż skutki jej — jako gestu — będą coraz bardziej wzrastały w miarę czasu. Rząd ludowy, który zaczął od reformy, musi być konsekwentny — i tak *zwolna umocni się niezniszczalna władza chłopa w państwie.*

Ta świadomość powinna w nas obudzić całą pasję społeczną masy dotychczasowych niewolników, którzy dochodzą do *Rządu!* I zwolna tak się stanie, aż kiedyś, za lata, chłop polski, zapomniawszy czasów, gdy małostkowo żalił się, lękał i narzekał, powie swojemu synowi:

A zaczęła się nasza potęga w tym dniu, w którym uchwalono natychmiastowe przeprowadzenie reformy i gdybyśmy to wiedzieli, to byśmy ziemię pazurami dzielili.

JAN SZCZEPAŃSKI.

Przed 22 laty*)

Józef Bobek

* * *

Spojrzyj o bracie chłopie na twą smutną dolę
Kiedy orzesz nie swoją ale pańską rolę
Kiedyś jest narażony na bat ekonomski
Chociaż bicie u s t a w ą wyrzucono z Polski
Kiedy orzesz te wielkie w wolnej Polsce łany
A z tego moc mieć mają rzymiany i pany...

Spojrzyj o bracie chłopie na ten los twój srogi
Gdy proboszcz twój i dziedzic w dostatkach pływają
Jak on bogacz biblijny wygód używają
Spojrzyj o bracie chłopie na parcelację
Jak robią na skórze twojej spekulację
I choć ustawa rolna dla ciebie istnieje
To jednak się obszarnik z prawa widać śmieje,
Gdy od morga tysięcy sto pięćdziesiąt liczy...
„I tylko za gotówkę" — wnet ci w ucho kwiczy.

Więc o bracie rodaku! Otwórz swoje oczy!
Niechaj krwi (robotniczej) kapitał nie toczy
Śmiało z lewicą walcz o swoje prawa,
By cię słyszała Polska, Sejm, oraz Warszawa
A „Przyjaciela Ludu" czytaj polski chłopie
Niech praw tych świętych kler, endek nie kopie.

*) Wiersz drukowany w numerze 7 „Przyjaciela Ludu" w r. 1922.

W następnym numemerze rozpoczniemy druk pamiętnika chłopa pańszczyźnianego MACIEJA SZARKA ojca poetów i działaczy ludowych, urodzonego w 1826, zmarłego w 1905 roku.

* * *

Jest to cenny dokument nie tylko duszy chłopskiej ale też ówczesnych warunków życia wsi. W pamiętniku tym wśród wielu znajomych Szarka odnajdujemy — Z. Kraszewskiego, Anczyca i Fr. Matejkę.

* * *

Publikację pamiętnika Szarka zawdzięcza Redakcja Dr Doc. J. Spytkowskiemu, którego wyczerpujący artykuł o tym pisarzu ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

TADEUSZ PAPIER

GMINA KAMIEŃ

(Dalszy ciąg pracy drukowanej w numerze 4-tym (11) „Wsi").

Poniżej drukujemy drugą część monografii „Gminy Kamień", zamieszczonej w numerze 4 (11) „Wsi". Część pierwsza mówiła o położeniu geograficznym, warunkach gleby, ilości i charakterze mieszkańców, wreszcie o podziale wsi na grupy społeczne, ich zachowaniu się, poglądach, pracy. Część druga stanowi uzupełnienie pierwszej, stara się dać opis poglądów politycznych, ukazać nowe przeobrażenia, jakie zwolna i nieuchronnie dokonują się w społeczeństwie chłopskim.

AGITACJA I POLITYKA.

Cechą charakterystyczną działaczy chłopskich, polityków S. L. była zawodowość: stałym zajęciem, codzienną pracą stały się dla nich zjazdy, wiece, konferencje tajne i jawne, utarczki z policją. Wynikła z tej zawodowości pewnego rodzaju konkurencja. Każdy z wybitniejszych działaczy gminnych posiadał własną szkołę, grupował koło siebie swoich adeptów, którzy go popierali i za nim szli.

Ta niezależność działaczy chłopskich miała swo je źródło w braku dyscypliny i wyraźnych form strukturalnych stronnictwa. Stąd przy założeniach programowych bardzo ramowych ich wypełnianie u poszczególnych działaczy gminnych nosi piętno konkretywizmu regionalnego i dowolności politycznej. Umacnia tę samodzielność brak poważniejszej wiedzy uzyskanej drogą studiów, brak bogatszych kontaktów pośrednich w postaci książek i pism.

Inną cechą działaczy chłopskich jest ich nieufność do miejscowej inteligencji, do tych, którzy dużo umieją, a równocześnie są obcy przez swoją prorządową postawę.

OBROŻA.

Warunki polityczno - społeczne Polski przedwojennej zmuszają działaczy wiejskich do przerzucenia swej działalności częściowo w podziemia. Oficjalnie mówi się to, co można mówić w granicach własnego bezpieczeństwa. W ścisłym kółku gdzieś w zadymionej izbie ustronnej chaty można mówić to, co serce dyktuje. W aktach gminy Kamień znajdował się dokument — raport jednego z policjantów, nadesłany ze starostwa stwierdzający, że ludowiec R. M. musi być otoczony specjalną opieką, ponieważ na tajnych zebraniach stale namawia chłopów do jawnego buntu przeciwko rządowi.

Policja czuwa i przeprowadza nagłe rewizje. Na niektórych działaczy wywiera się presję. Prezes gromadzkiego koła S. L. ustępuje ze stanowiska na wyraźną groźbę komendanta policji. Prezes miał ziemię obciążoną długami hipotecznymi, dano mu więc do zrozumienia, że może być źle z nim i z przyszłością jego dzieci.

Wobec oficjalnego nieuznania partii komunistycznej i zejścia jej w podziemia, S. L. i „Wici" były na wsi jedynymi jawnymi reprezentantami partii demokratycznych. Jako najbardziej radykalne stały się one celem ataków rządu. Każde słowo wołające o poprawę doli robotnika lub chłopa zawierało w sobie „szkodliwy bakcyl wschodu". Policja miała plewić rozrastające się chwasty opozycji, urzędnicy nie dopuszczali do głosu wiciowca lub ludowca, ksiądz umiał zastosować ostracyzm moralny do osób nastawionych zbyt lewicowo.

STARZY I MŁODZI.

Starsi zorganizowani byli w kołach S. L. Było tych kół na terenie gminy pięć. Odbywano zebrania, wysyłano od czasu do czasu delegacje na zjazdy lub wiece, prenumerowano pisma partyjne. Zwracano dużą uwagę na stronę polityczną, organizacyjną, nie zadbano o gospodarczą. Były wprawdzie próby organizowania spółdzielni mleczarskich ale z powodu obojętności lub niechęci ogółu spółdzielnie te nie rozwinęły się należycie. Odnoszono innego rodzaju korzyści z tych spółdzielni. Pod pozorem zebrań władz spółdzielczych zwoływano zebrania polityczne. Do zarządu wchodzili wybitniejsi ludowcy gromady i w ten sposób bez zezwoleń policji lub starostwa można było odbywać spokojnie zebranie S. L.

Mimo wysiłków kilkunastu aktywistów duża część chłopów stała na uboczu. Człowiek przyzwyczaja się chodzić w jarzmie i niechętnie zrywa z ustalonym choćby najgorszym porządkiem rzeczy, jeśli ten daje mu minimum swobody. A tę swobobę przed wojną wieś miała: swobodę produkowania dzieci i dostarczania żywności. Do tego sprowadzała się funkcja wsi w nowoczesnym państwie.

Młodzież wiejska była zorganizowana w kołach wiciowych. Było tych kół cztery na terenie gminy. Należeli do „Wici" przeważnie małorolni lub biedniejsi średniacy. Przeciętnie koło liczyło do 10 członków. W przeciwieństwie do przywódców S. L. wiciarze byli ze sobą więcej zżyci, bardziej skarmonizowani. Zwracali dużą uwagę na wspólne gromadzkie życie, urządzali często przedstawienia, zabawy, obchodzili razem święta ludowe. Największą bolączką kół „Wici" był brak książek. Siła ich leżała w uświadomieniu własnej krzywdy społecznej.

INNE ORGANIZACJE.

Pewną przeciwwagą S.L. na wsi był BBWR. a potem O.Z.N. Zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku pozawiązywały się małe koła, przeważnie złożone z bogatszych gospodarzy lub sołtysów gromadzkich. Umiejętna propaganda (pisma „Gospodarz Polski", „Siew") robiły swoje. Wygodnie było niektórym bogatszym chłopom stać się zwolennikami panującego reżimu, żyć w przyjaźni z samym starostą, jeździć bezpłatnie na uroczyste zjazdy.

ZŁOTY RÓG.

We wrześniu 1939 roku chłopi gminy Kamień niewołani nakazami mobilizacyjnymi, już w czasie walk ochotniczo zaciągali się do wojska. Opinia chłopska była jednolita: walczyć. Klęska wrześniowa otworzyła szerokie wrota do wyrzekań i skarg. Krytykowano rząd, generałów, z niechęcią spoglądano na inteligencję urzędniczą jako na tych, na których opierał się rząd.

W 1940 roku nastąpiły pierwsze aresztowania. W gminie pojawiają się wiadomości ze świata, pierwsze gazetki odbite na powielaczu.

WIEŚ WALCZY.

Jedną z form walki z Niemcami było tajne nauczanie. Podczas wojny dał się wyraźnie odczuć wzmożony pęd chłopskiej młodzieży do nauki. Nauczycielami byli studenci i uczniowie szkół średnich, których wojna zmusiła do powrotu do rodzinnej wsi.

Organizowano komplety od najniższych klas gimnazjalnych do liceum. Poprzez okres wojny przeprowadzono przez gimnazjum i liceum ponad 40 dziewcząt i chłopców, nie licząc tajnych kompletów w zakresie szkoły powszechnej. Do matury licealnej doprowadzono 8 dziewcząt i 3 chłopców.

Około 70 proc. uczniów stanowiły dzieci chłopów małorolnych i średniorolnych.

* * *

Jednym z największych gospodarczych ciężarów, jakie wieś ponosiła w czasie okupacji, były kontyngenty zboża, mleka i mięsa. Wieś rozumiała, że oddając naznaczone ilości zboża, wzmacnia siłę wroga. Decydując się na opór, czyniła to nie tylko we własnym interesie. Komisje gromadzkie i gminne celowo nisko kwalifikowały jakość urodzajów. Komisarzy niemieckich oprowadzano po najgorszych polach, pokazując im niewyrośnięte żyta i anemiczne pszenice. Odstawę zboża i bydła odwlekano do najbardziej możliwych granic. Każda wieś w gminie przeżyła po kilka ekspedycji karnych w ciągu roku. Z każdej wsi zabierano rok rocznie do obozu koncentracyjnego (powiatowego) za nieoddanie kontyngentu przeciętnie 10 osób.

DWA WOJSKA.

Najsilniejszą organizacją wojskową na terenie gminy Kamień w czasie okupacji niemieckiej były Bataliony Chłopskie. (Około 90 proc. wszystkich zorganizowanych chłopów). Członkowie B. Ch. rekrutowali się przeważnie spośród małorolnych lub średniorolnych. Trzon organizacji stanowili przedwojenni działacze polityczni S. L. Ci właśnie dowódcy, byli prezesi kół S. L. organizując plutony i kompanie, odbywając nocne ćwiczenia, zdawali sobie sprawę z tego, że niepodległość, o którą się biją, ma być nie tylko niepodległością polityczną ale i niepodległością społeczną, wyzwoleniem mas chłopskich i robotniczych z niewoli kapitału i obszarnika. *Z tym przekonaniem zaciągał się do* B. Ch. każdy chłop.

Inne stanowisko do sprawy niepodległości zajmowali bogatsi średniacy i ci działacze, wiejscy, którzy byli zbliżeni do przedwojennego reżimu. Ci również pragnęli Polski wolnej. Ale nikt się nie wgłębiał jak ta wolność ma wyglądać. Hasło „pracy wojskowej" rozgrzeszało z góry taką czy inną przynależność organizacyjną. Klasa bogatszych oraz inteligencji chłopskiego pochodzenia tworzyła podstawę Z. W. Z., później A. K. i N. S. Z.

Pod koniec roku 1943 daje się zauważyć coraz bardziej rosnący wpływ B. Ch. i uwidacznianie się A. L., opartej głównie na małorolnych i bezrolnych chłopach. Pozostałe organizacje rozpadają się, członkowie ich, żołnierze chłopscy, przechodzą przeważnie do B. Ch.

DROGA KRZYŻOWA.

Podczas walk wrześniowych zginęło z gminy Kamień 12 chłopów.

W czasie okupacji (szczególnie rok 1943 i 44) zjeżdżały na teren gminy ekspedycje niemieckie, żandarmi i gestapo otaczało poszczególne wsie, przetrząsano domy i aresztowano chłopów.

Ogółem wywieziono z gminy do Oświęcimia i innych obozów koncentracyjnych 80 chłopów, z których 50 już nie wróciło. Z pośród aresztowanych 55 pochodziło z klasy małorolnych (do 3 ha).

Podczas walk frontowych Niemcy aresztowali i wywieźli z gminy 800 chłopów. Walki frontowe przyniosły śmierć około 100 chłopom. Zostało całkowicie spalonych lub rozebranych przez Niemców 3 wsie. Częściowo spalono 4. Codziennie miny kaleczą i rozrywają ludzi.

NOWE ŻYCIE.

Rok 1945 przyniósł gminie wyzwolenie; przyniósł nie tylko wolność polityczną, ale i wyzwolenie społeczne, przyniósł reformę rolną, samopomoc chłopską, demokratyczną armię, dostęp do szkół.

Gmina Kamień odbudowuje spalone domy, wysyła dzieci do szkół średnich, ochotników nad Odrę i Nissę.

W gminie Kamień nie ma w dalszym ciągu dobrych dróg, brak spółdzielni, brak domu ludowego.

W gminie Kamień powstaje Samopomoc Chłopska, która ma zniwelować różnice klasowe przez powszechne braterstwo chłopów.

PAWEŁ KUBISZ

W Gutach jest muzyka

Szczyrkoce gospoda w śmiychu,
Bulczy rozgwar, trzeszczóm szklónki —
Buch w deliny — — — uścisk z grzychu —
Tańczóm wszyscy... Jewy, Jónki!

Jura Buła z Martóm Szkopiec,
Młody Antek ze zowitkóm.
Tyn sie tam w spodnicy dropie,
Tamtyn szczypie dziołche, brzydko!

W szynkwas chlipie kwit, gorzoła —
Krzyk dłaboczy sie na ściany;
Rznie muzyka fórt dokoła,
Tańczóm gaździ i gałgany!

Ciżba, duszność sie opiły;
Cisnóm sie ku sobie ciała —
Dwa serca sie rozetliły:
— Juj... jo bych cie całowała!

Szmatłej, szmatłej, szmatłolino!
Zaszmatlesz sie ty szmatłoku,
Suknia sie ci moc wypińo!
— W tańcu nie utrefisz kroku!

Nie zwódź synku mje na pole
Leżeć w sianie i omdlywać...
Tańczóm Guty i gorole,
Było tak i beje bywać!

Schrapłym głosem bas nadowo,
Hóczy głucho do muzyki... — — —
— Chwancie nie żgej do mje głowóm,
Bo skończymy bijatykóm!

— Tańcz se z larwóm... ty gibasie,
Ne zyrkej mi na dziołuche!
...Pukła struna w starym basie,
Trzeszczóm w rękach kości kruche!

Zgasły światła, szasły dwiyrze —
Kopyrcóm sie stołki, stoły!
Noże lecóm... prosto... krzyżym:
Gdosi w plecach mo nóż goły!

Harmónija grać przestała —
Pisk sie mnoży... jęk zaszkwiyrczoł
...Gospoda opustoszała — — —
W kącie bas potulnie tyrczoł!

JAN ALEKSANDER KRÓL

CHŁOPI POD OKUPACJĄ

W zeszycie 1 miesięcznika literacko-krytycznego „Twórczość" znajduje się obszerne studium pióra K. Wyki p. t. „Gospodarka wyłączona", charakteryzujące środowiskami społeczeństwo polskie w okresie okupacji.

Oto wyjątki z ustępu przedstawiającego wieś w latach niewoli:

Chłop od czasu kryzysu około 1930 roku pracujący niżej opłacalności swojego warsztatu, nareszcie zaczął nad nim pracować z zyskiem. Klęska znienawidzonego ustroju, dla chłopa spóźniony triumf polityczny, spoiła się z dawno czekanym zadośćuczynieniem gospodarczym.

***

Materiał powodzenia gospodarczego i ogień politycznego zawodu był na wsi gotów. Brakowało kowala. Kowal nie przyszedł. Ściślej mówiąc — przyszedł, ale zamiast kuć żelazo, zebranych przy kuźni chłopów zaczął „kuć w mordę".

***

Chłop przeczuwał, i to przynosi chlubę jego realnej, nie dającej się nabrać na żaden werbalizm wyobraźni społecznej, przeczuwał doskonale, że jego względny dobrobyt stanowi prowizorium do czasu zupełnego zwycięstwa. W wyniku tych wszystkich powodów chłop stosunkowo dobrze oparł się deprawacji moralnej. Ale nie ze wszystkim się oparł. Jego procesy gospodarcze również były wyłączone z procesów zbiorowych. Tracił podobnie, jak tracili wszyscy, ale w proporcji tracił znacznie mniej i co gorsze jedyny chłop mógł to sobie odbić na skórze ziomków. Nie on szukał nabywcy ze swymi produktami, ale nabywca przyjeżdżał do niego, na wieś najbardziej zapadłą i płacił każdą cenę. Nie on ponosił główne ryzyko handlu okupacyjnego — przewóz, ale handlarz miejski, zawodowy czy przypadkowy.

***

Chłop nasz, jak każdy zresztą, jest nieczuły i twardy. Jego nieczułość pogłębiały specjalnie polskie remanenty wiekowej niedoli chłopskiej. W tych okolicznościach stawał się nieczułym do potęgi i takim go dziedziczy Polska po czasach okupacji.

TROCHĘ NIE TAK.

Psychologia gospodarcza chłopa czasów okupacji przedstawia się dla K. Wyki najbardziej paradoksalnie, ponieważ fakty powinny były — gdyby tylko one decydowały, wywołać inne postawy psychologiczne, aniżeli te jakie miały miejsce.

A miały miejsce według niego dwa szeregi faktów: Pierwszy, **gospodarczy** — Niemcy nie nałożyli kontyngentu w pierwszym roku, ceny poszły w górę, wieś odkarmiła się i wzmogła gospodarczo podczas okupacji jak nigdy przedtem.

Drugi szereg, **patriotyczny:** chłopi nie poszli na lep propagandy niemieckiej, co wyraziło się najszerzej w milkliwym oporze, nienawiści, wreszcie konspiracji i partyzantce.

Wyka tak jest zdumiony niespójnością tych dwóch szeregów, że sam szuka dla niej wytłumaczenia, — przede wszystkim w postępowaniu niemieckim.

To Niemcy — według niego — popsuli możliwość pozyskania sobie wsi mając wspaniałe po temu podstawy gospodarcze. Popsuli „kuciem w mordę", aresztowaniami, terorem, przymusową wywózką robotnika — zamienianego w Rzeszy w niewolnika, kontyngentem i śmiesznymi premiami.

Nie obchodzi nas na tym miejscu psychologia Niemców, ale co się tyczy psychologii chłopa to nie widzimy powodu, aby wymienione przyczyny nie działały na „psychologię gospodarczą chłopa". Właśnie przede wszystkim w nią biły. Chłop-rolnik zagrożony bowiem został w swej pracy, i w jej elementach — jak zbiorach, sile roboczej, życiu własnym i płacy. Nie chcemy przez to powiedzieć, że „psychologia gospodarcza", była jedyną jaką kierował się chłop podczas okupacji, ale chcemy powiedzieć, że działała i że to co obserwowaliśmy pozostaje z nią w stosunku prostym, stanowi jej konsekwencje a nie znajduje się w sprzeczności, [illegible] mniema Wyka.

Raczej sam Wyka wpada w sprzeczność ze swoją tezą niewspółmierności. Opowiada bowiem, jak to okupacja otworzyła nagle wsi wrota łatwego zarobku, zarobku bez ryzyka (handlarze przychodzili aż po próg chałupy), zarobku zawrotnego, nieuczciwego i jak to chłop nie oparł się takiej sytuacji gospodarczej, wrósł w nią i takim **„nieczułym do potęgi"** dziedziczy go Polską po okupacji. Jeśliby ten wniosek był prawdziwy wówczas mielibyśmy klasyczny przykład determinizmu psychologii gospodarczej na chłopa. Nawiasem mówiąc przykład zawarty w studium Wyki.

Wyka popełnił błąd w samym **założeniu** swego opisu. Przyjął milcząco wieś jako **środowisko jednolite.** Stąd te nieporozumienia i dziwności; raz psychologia gospodarcza chłopa działa poprawnie z całą konsekwencją prowadząc od możliwości łatwych i nieuczciwych zysków do zdzierstwa **własnych ziomków,** drugi raz od tych samych możliwości przerzuca się do wrogości wobec Niemców sprawców tej prosperity.

Rzecz się wyjaśni jeśli przyjmiemy conajmniej dwuwarstwowość wsi.

BIEDNI.

Trzeba sobie powiedzieć, że Niemcy okupowali chłopów bogatych i chłopów biednych. Wiedza i świadomość narodowa jednych i drugich w stosunku do Niemców była w roku 39 w porównaniu z innymi warstwami chyba najsłabsza. Bo z tego, co mogła dać lektura „Krzyżaków" z czytelni miejskich, co mogło dać wychowanie gimnazjalne (polski, historia), co wreszcie mogła dać prasa, z tego wszystkiego wieś prawie nie korzystała. Jej wychowanie obywatelskie było zaniedbane. Wysiłek wychowawczy państwa szedł raczej na wytworzenie oparów psychicznych wobec Rosji Sowieckiej. Groza komunizmu i bezbożnictwa, tę chciano i umiano rozwiesić nad wsią.

Dlatego punktem wyjścia w analizie postawy wsi wobec najeźdźcy powinno być rozpatrzenie **doświadczenia praktycznego,** jakie wieś mogła zdobyć jeszcze przed wojną w styczności z Niemcami.

I tu wracamy odrazu do doświadczeń gospodarczych i do zagadnienia dwuwarstwowości.

Część wsi znała Niemcy przed wojną. Część biedniacka: bezrolni i małorolni. Ci co wyjeżdżali na „saksy". Od nich rozchodziła się w tej grupie opinia o Niemcach, nie bez znaczenia i dla bogatych chłopów.

Otóż trudno nie zgodzić się, że biedota wiejska odczuwała przed wojną swoją **bezużyteczność** w Polsce. A w Niemczech na „saksach" otrzymywała wyrównanie: była pożądana i dobrze płatna. My wiemy, że dla Niemców Prusy Wschodnie i Zachodnie były prowincjami deficytowymi. Ośrodki przemysłowe na południu i zachodzie wyciągały stąd i ręce robocze i kapitały. Ale ze względów politycznych i dla satysfakcji obszarników junkierskich łożono specjalne sumy i nadawano wyjątkowe prawa aby podnieść produkcyjność — przede wszystkim rolniczą — tych prowincji.

W rezultacie ci, co jechali od nas na „saksy", spotykali się w Niemczech z wysoką organizacją i techniką rolniczą, z systematyką pracy, krzątliwością, pedantyzmem (który często na biednych żyjących z dnia na dzień, robi wrażenie „kultury"). To były elementy, które działały na wyobraźnię narodową, powiększając kompleks niższości klasowej o kompleks niższości narodowej.

Po drugie — był **zarobek,** źródło z którego zaczerpnąwszy bezrolny nieraz stawał się w Polsce po latach „gospodarzem". Przysługiwała im w Niemczech nawet „kasa chorych". I „kucie w mordę" poznawali tu jako narodowy obyczaj niemiecki, a nie jako szykanę skierowaną wyłącznie przeciw sobie, jak w kraju.

Klęska wrześniowa zastała zatem wieś biedniacką raczej w związkach pozytywnych z Niemcami. Na pierwsze wezwanie na roboty do Niemiec biedni chłopi nie pozostali głusi. Ale tu ich spotkało jeszcze jedno i jak dla nich **ostatecznie** przekonywujące rozczarowanie. W bilansie ogólnym wieś biedniacka poniosła podczas okupacji same straty: brak gospodarstwa albo posiadanie zbyt małego nie dało jej zysków z „handlu okupacyjnego" w okresie szalonej zwyżki cen, przeciwnie pogłębiło nędzę. Ona też była głównym rezerwuarem wywozowym; uchylający się wykupem bogaty chłop spychał tragedię niewoli na barki bezrolnych i małorolnych nie rzadko podłym podstawieniem, co znajdywało u Niemców naturalną aprobatę — Bezrolni i małorolni bowiem jako najbiedniejsi, nie mający wiele albo i nic do stracenia, z szansą do zmiany miejsca, najbardziej niezadowoleni byli elementem najniebezpieczniejszym na wsi. Ich też najszerzej objęły „kucia w mordę", aresztowania i tracenie.

Ewolucja jaką przeszła wieś biedniacka należy do najbardziej cennych dla narodu polskiego. Ona znając sprzed wojny cywilizację Niemiec doznała teraz na sobie ich moralności narodowej — doznała tego, co potocznie nazywa się „imperializmem faszystowskim". Mogła ocenić o wiele wnikliwiej rolę techniki na usługach barbarzyńskiej teorii kultury. Bardziej rozumowo, na większym planie wiedzy, wynikłej z otrzaskania i znajomości stosunków mogła stanąć wobec zagadnienia patriotyzmu.

Najwięcej zniszczona przez wroga najsilniejsze miała bodźce do zdobycia świadomości narodowej. Potęgowała ten proces obserwacja zawrotnych w zyskach „handlów" bogatych chłopów, ich krycia się przed wywozem i kontyngentem kosztem biedniaków. Budowała się w ten sposób i świadomość społeczna tej klasy, tworząc stop jednolitego pragnienia **Polski sprawiedliwej.**

BOGACI.

Inna była sytuacja chłopów na gospodarkach mocnych. Ci Niemców ani Niemiec nie znali. Nie zainteresowani w „saksach", jak biedniacy, z opowiadań jedynie mogli wyrobić sobie sąd dodatni, ale bez praktycznego dla nich znaczenia. Z nastaniem okupacji teror stawiający cały naród wobec konieczności ulegania najeźdźcy na wsi na tej klasie musiał wycisnąć najsilniejsze piętno. Tu było dość mienia, aby dla utrzymania gospodarki stanąć na stanowisku tchórzliwego lojalizmu, a później okazało się, że aż nadto zysków z mienia, aby stanowiska tego nie odrzucić.

W tej klasie można obserwować, jak wybitnie deprawatorską rolę odegrała tu **szansa gospodarcza.** Bogaci chłopi poszli na pasek artykułami rolniczymi — właśnie bez ryzyka, które obciążyło wyłącznie miejskich handlarzy przewoźników. I głód reszty narodu, głód miasta i wojenne ryzyko przewozu nie stały się dla tej klasy **problemem narodowym.** Nie doprowadziły do polityki patriotów.

Chłopi bogaci użyli pieniędzy na wykup od branki do Niemiec. Skorzystali w niewoli z przywileju obrony wyłącznie dla siebie. Taka obrona była nie narodowa, bo w konsekwencji czyniła jedynym kotłem ofiar biedniacką wieś.

Chłopi bogaci opanowali politykę gmin i w rozdziale kontyngentów bronili swoich interesów z całą obojętnością wobec tragicznej zaiste sytuacji biedniaków. Ta obrona miała w gruncie rzeczy sens walki. Na biedniakach oszczędzano daninę, a zaoszczędzone szło w handel antynarodowy.

Byłby ślepym, ktoby nie zauważył, że podczas lat okupacji rosły napięcia i tarcia społeczne na wsi. Walka bogatych z biednymi nabierała zabarwienia politycznego i wszyscy dobrze wiemy, że biedni wymierzali chłopską — wewnętrzno polską chłostę na niegodziwych służalczych sołtysach, młynarzach i gburach. Nawet więcej, bywały kary śmierci. Ale tymi płacono i z drugiej strony, z tym naddatkiem, że posługiwano się tu również **„donosami".** I jako komunistów sprzątali już sami Niemcy biedniackich działaczy chłopskich. Ważyłbym się przeto powiedzieć, że prócz t. zw. „popijoch" z Niemcami i durnowatych przypochlebień w tej klasie rozwijały się głębsze i bardziej zdradliwe opory do walki z okupantem.

I kiedy Wyka uogólniając — mówi o całej wsi, że odbiła sobie dawną biedę **„na skórze ziomków"** i że **„nieczułą do potęgi"** dziedziczy ją dziś Polska po czasach okupacji — zaprzeczam tym szkicem z całą mocą.

Tragedią jest właśnie to, że ci, co byli biedni na wsi niczego i na niczym sobie nie odbili. Ci zaś co mieli, powiększyli, owszem — ale z uszczerbkiem dla honoru warstwy chłopskiej i narodu.

Taka jest prawda o wsi polskiej czasów okupacji.

W najbliższych numerach rozpoczn'emy druk cyklu esseóyw

JANA WIKTORA

pod wspólnym tytułem

„NIEWYZYSKANE ŹRÓDŁA"

Cykl ten powstał w latach okupacji z rozmyślań autora nad źródłami niedoli chłopskiej i źródłami zapomnianych i niewyzyskanych manifestacyj mocy i twórczości chłopskiej.

*

Między innymi wśród zapowiedzianych tytułów spotkamy:

Kto tamował rozwój chłopa? — Pisarza moc burzenia. — Nie Szela!.. — Rzym a żywotność narodu polskiego. — „Siermiężne rycerstwo". — Współtwórca dziejów. — Testament Młodego Pokolenia Chłopów.

*

Essye mają układ rozmowy (dialogu), którą autor wiedzie z przyjacielem, samoukiem, działaczem chłopskim, Janem.

STANISŁAW PIĘTAK

„KONIOKRAD"

— Niech idzie, huncwot, może zyska u Ruskich konia. Stracił go, powinien go zdobyć — mówił basem siwowłosy, przystojny jeszcze chłop, Grześ Burdza i oganiał się pod stodołą przed bąkami. Matka i synowa patrzyły z lękiem i odrobiną nieufności na Tomka i odwracały się bokiem, jakby miały się żegnać w tej chwili.

Tomek sam stał na bosaka i układał, rzeczy w plecaku poważnie i z majestatem. Najpierw na dno położył papier, potem bochenek chleba, potem znowu osełkę masła, trochę jabłek, wreszcie na koniec trzy pełne litry bimbru, na to znowu papier i zabierał się do wiązania sznurkiem.

— Tomuś, a może syrka trochę? — wybąkała nagle stara Burdzka i lękliwie spojrzała to na syna, to na męża, to na niebo.

— Może być i syr — oświadczył powoli Tomek i podtrzymał sznurki nad plecakiem.

Wyszedł już dobrze po południu. Gorąco było, toteż kaszkiet trzymał w garści i machał nim w powietrzu. Właściwie czuł się zadowolony, że idzie — omijała go robota przy żniwach, jedzenia miał sporo, cieszyły poza tym przygody, jakie się spodziewał znaleźć w pobliżu frontu.

Na polach stały jeszcze nie zebrane półkopki żyta, bieliła się poza tym i złociła niezżęta pszenica, kulił się płowy owies. Niebiesko było, szosą między jabłonkami pędziły już auta sowieckie, szli pieszo czerwonoarmiści. Raz po raz odzywały się niemieckie strzały artyleryjskie, które padały blisko z odgłosem jakby klapnięcia — Tomek odwracał się wtedy i krzywiąc nos mamrotał:

— Skurwesyn mo wciąż amunicje — skąd on bierze, aby go ślag trafił!

Oglądał się — znów przecież nie paliła się jego wieś, ale Zawiśle, które leżało tuż, tuż za rzeką. Słupy ciężkiego, burego dymu rozbijały się i na wzgórzach — tam też biła artyleria bez przerwy i raz po raz nachodził pomruk samolotów.

Tomek właściwie bał się, ale robił dobrą minę, oganiał się przed komarami i szedł napwrost na przeprawę. Dopiero był trzeci dzień, jak wojska sowieckie wkroczyły na ten teren — po spalonych obejściach chłopi w koszulach, z gołymi głowami grzebali w popiele, jakby nie dowierzając, że wszystko się spaliło. Gdzieniegdzie leżały jeszcze trupy w rowach, w zbożu — oto jakiś podoficer niemiecki ze sczerniałą zupełnie twarzą, z kostrzewą bujnych jasnych włosów, które wydawały się przyklejone do czaszki. Patrząc, widziało się tylko te włosy — poza tym był skrzep czarny, maź, rysy zupełnie rozbite.

Tomek zamierzył się zdjąć Niemcowi buty, ale że było gorąco, machnął ręką i poszedł dalej. O kilkanaście kroków zaledwie głębiej, na łączce, o którą toczyła się walka, spoczywało już więcej trupów. Oczy Tomka uderzył przede wszystkim trup sowieckiego żołnierza. Żołnierz ten, mocno zbudowany człowiek, leżał godnie na wznak, tak jak gdyby się położył do snu i odpoczywał ze spokojem. Usta były prawie zamknięte, na czole wysokim, silnie zarysowanym tkwiła jakby rozwaga, jakby namysł. Dopiero nachyliwszy się można było zobaczyć szkliste, nieżywe, niebieskie oczy...

I tu Tomek zamierzył się przetrząsnąć kieszenie zabitemu biedakowi, popatrzywszy wszakże na słońce, zaniechał tego zamiaru, wypluł komara, który mu się plątał między wargami i skierował się ku wałowi wiślanemu.

Był pełen nadziei i wigoru, ale na przeprawie spotkała go niespodzianka. Przejeżdżała tędy niezliczona ilość furmanek — i jemu już błysnęły oczy z chciwości, błyskawicznie w myśli wybierał co lepszego wierzchowca, a tu go nagle odtrącono od przygodnych znajomych i zatrzymano na punkcie kontrolnym.

Tomek machał ręką poprzez niebieską Wisłę, poprzez niziutki most za żołnierzem, u którego targował konia, a tymczasem oficer sowiecki z dwiema dziewuszkami w mundurach ściągał z niego najzwyklejszy protokół.

Tomek patrzył w przezroczystą wodę i nie widział wcale swoich długich, pokrytych błotem stóp, swojego podejrzanego plecaka, swojej szklistej łysiny, widział tylko surowy wzrok oficera i czuł żałość, żałość straszną, że nie może pobiegnąć za końmi, które mu się tak podobały.

— Niemcy mi zabrali obydwa konie! Niemcy są w tej wiosce, ja muszę tam być — powtarzał bez ustanku.

Skmlał i u pułkownika, który właśnie przejeżdżał w odkrytym aucie — i wtedy dopiero otrzymał pozwolenie na przejście przez most.

Huki słychać było tu jakby dalej, ale przecież Tomek, skoro tylko wyszedł za Wisłę, ujrzał, że pożar wybuchł zaledwie o jaki kilometr stąd. Topole miejscami tu wystawały pocięte — tkwiły spalone czołgi, walały się kosze po amunicji.

Front tu był chyba o kilka kilometrów — auta i wozy szły tu zamaskowane bocznymi drogami, żołnierze ciągnęli też gęsiego i często pod krzakami przystawali. Tomek pchał się z taborem, zaganiając swoimi dużymi stopami po trawie i na zmrok dotarł do drugiej linii. Odrazu poobchodził wszystkie zakamarki, dopytując się o konie i trafił rzeczywiście na okazję.

Dwóch sybiraków, chłopów wysokich na schwał, rezolutnych, zawadiackich, zaofiarowało mu klaczkę piękną i młodą, zażądało tylko dwóch litrów wódki. Tomek spojrzał w niebo śliczne, błękitne, na auta stojące pod śliwkami, na rozebranych kompanów i odstawił swój plecak.

Jeden z sybiraków przyprowadził klaczkę skarogniadą do płotu, przy którym siedzieli, — jakże było odmówić? Rozkorkowali pierwszy litr, przy drugim poczęli dyskutować o polityce — kiedy przyszła kolej na trzeci, przechodząca warta zabrała Tomka na przelegitymowanie do pułkownika.

Tylko, że był pijany bardzo, nie martwił się. Stał na dworze z odkrytą głową i kiwał się sennie. Przestał się wszakże kiwać, gdy znowu puszczono go na wolność. Zaszedł pod płot, gdzie stała klaczka i rosły śliwki, a tu okazało się, że nie ma ani sybiraków, ani niczego innego!

W pierwszej chwili nie dał wiary, sądził, że pomyliło mu się w głowie — następnie przecież począł beczeć. Skamlał znowu i wybłagał u pułkownika przepustkę do pierwszej linii, by szukać swoich koni i straconej wódki.

Teraz już nie był nastrojony entuzjastycznie i pełen nadziei, przeciwnie — ostro skupiał się w sobie i roił o odegraniu się. Dzień znów był czysty i gorący. Po bokach odsłaniały się pożary, paliło się i za Wisłą. Wieś, do której wstąpił Tomek, była prawie bez wojska — poza tym też mocno pusta.

„Do diabła, gdzie oni się biją? Linijo tu przecie jest o dwa kilometry" — pomyślał. Zobaczył naraz sad tak piękny przy jednej rozwalonej na pół chałupie, że zatrzymał się, wylazł na jabłonkę i począł zajadać w najlepsze różowe jabłka.

Byłby tak siedział ze dwie godziny, ale strzał niemiecki, który znienacka padł tylko może o 100 metrów w kierunku Wisły, zaniepokoił go i zmusił do położenia się pod jabłonką.

Paliło już słonko i mrówki szybowały po piasku. Macając się po łysynie, Tomek podniósł się i poszedł w kierunku chałupy. Izba była pusta — łóżka stały obdarte z pościeli i kot tylko bury, leniwy chodził po podłodze i mruczał gniewnie na muchy, siadające mu na oropiałym uchu. Gospodarze widać uszli przed strzałami, ale jakoś wszystkiego nie zdążyli zabrać — leżał chleb, stało mleko, kawałek słoniny sterczał w szafie, poza tym wreszcie za skrzynką w samym kącie kuchni spoczywały piękne półbuty męskie.

Rozradowany przygodą Tomek najsampierw wpakował półbuty do plecaka, potem zjadł słoninę z chlebem, wreszcie zabrał się do skręcenia papierosa.

Zapalił już, ale nagle strzał wyrżnął chyba o kilkanaście kroków, bo tynk osypał się z powały i szyby wyleciały z trzaskiem. „Nie dobrze, ten skurwesyn Hitler bije coraz ostrzy" — szepnął Tomek, blady zresztą jak ściana.

Wychylił głowę ze sieni — po ulicy wsiowej ukrytej w sadach pędziły dwa wozy z amunicją w całym rozbiegu — tuż obok leżał żołnierz i wymachiwał skrwawioną, pociętą dłonią, jęcząc. — Którędy najbezpieczniej na Samborzec? — zawołał po rosyjsku starszy, siedzący z tyłu pierwszego wozu.

Skrwawionego żołnierza porwano naraz i ułożono na słomie na trzecim wozie, który się tu skądś zjawił. Na Tomka wystąpiła gęsia skórka, ale wyszedł i począł się skrobać po głowie.

— Konie macie do sprzedania? — jąkał się. — Konie macie?

— Droga na Samborzec? — krzyknął znowu starszyna.

— Jo nie wiem, jo tu po konie. Germancy mi konie ukradli...

Wozy w rozbiegu skręciły na łączkę w pola — zdala dochodziło rżenie koni, zabłąkanych czy rannych.

„Hej, zdobędę konika — pomyślał Tomek. — Zdobędę, jak mi matka miła".

Przeszedł pustą ulicą wsi, wyludnioną zupełnie i dopiero pod szkołą natrafił na grupkę żołnierzy w okopie.

— Co, tu front? — spytał się, znowu głupio drapiąc się po głowie i myszkując burymi oczyma po niebie.

— Da, da — odpowiedzieli nieogoleni, pobrudzeni żołnierze. — Za wsią w lasku są Niemcy...

— Naprawdę? Jak się to dzieje — jo nie rozumię. — Jak osa, kula zagwizdała mu przecież koło ucha — i tu dopiero zrozumiał. Skulił kark i skoczył do okopu odrazu.

— Skurwesyn, skurwesyn! — bełkotał. — Patrzcie go!

Dopiero po jakiej pół godzinie rozpatrzył się w położeniu. Za domami, za polami za stojącym jeszcze w pełni zbożem wznosiło się wzgórze, a z boku niego stała niewielka dębina poprzeplatana olchą i brzozami — tam okopali się Niemcy. Na lewo obydwie wsie — jedna w wąwozie, druga na nizinie nadrzecznej były w ręku Rosjan. Wieś pierwsza była prawie cała spalona — dymiły się zgliszcza, raz po raz po strzale wybuchał jeszcze ogień na krańcu zachodnim. Tomek drżąc, począł z powrotem kręcić papierosa.

— A koni tu nie ma? — spytał. Począł skamleć i znowu opowiedział, jak go wykpili sybiracy.

— W dole, gdzie jest olszyna, stoją trzy konie lekko ranne. Idź tam, durak i weź sobie — powiedział najmłodszy żołnierz, płowowłosy, z szerokim, zabawnym nosem i wziąwszy od Tomka tytoń począł też kręcić.

Tomek cały dzień wybierał się do tych koni, ale go przy każdej bliskiej eksplozji zimny pot oblewał i odkładał wyprawę. W oczekiwaniu zastał go wieczór. Gdy ściemniało, nagle poczęła napełniać się wieś taborami, przywożono amunicję i jedzenie. Od strumienia w kierunku na Olszynę odezwała się nawet piosnka. Tomek wyszedł z okopu, zachęcony radośniejszym nastrojem i rozglądając się na wsze strony, szukał łączki, na której miały stać konie.

Szczęście mu sprzyjało, przeszedł odległość bez wypadku. Obmacał z kolei jednego wałacha i skonstatowawszy, że ten jest lekko zadrapany tylko w szyję, wgramolił się już na niego z plecakiem, gdy naraz zastanowiło go jękliwe mruczenie samolotu w górze. Nie zdążył ani kopnąć konia piętamy, ani rozejrzeć się, w którą stronę ma jechać, kiedy znowu tuż, tuż zawisła rakieta w powietrzu.

Wieś nagle z wozami, z drzewami lekko poruszającymi się na wietrze, z kominami chat odsłoniła się niezwykle jasno. Wozy i ludzie poczęli niknąć w sadach, ale tymczasem rozbłysła już druga i trzecia rakieta i z suchym przeraźliwym szumem upadło kilka bomb. Równocześnie od strony lasku poczęły bić czołgi niemieckie i zapaliły chałupy na wschodnim krańcu wsi.

Tomek znalazł się nagle w kręgu ognia z koniem i nim pojął co się dzieje został sam ostrzelony gwałtowną salwą. Chciał jeszcze jechać, ale koń rżał, kręcił się i raz po raz zrywał się, by pędzić wprost ku Niemcom w sam ogień. Odchodząc od przytomności, Tomek zeskoczył na ziemię i odbiegł chyłkiem w olszynę kilkanaście kroków. Samoloty niemieckie zrzucały teraz bomby co chwila na wieś — artyleria sowiecka biła znowu z szaloną szybkością. Przytulając twarz do błota, Tomek bał się patrzeć. Każdej sekundy spodziewał się śmierci i tylko jęczał i przy każdym wybuchu nakrywał kataną głowę.

Dopiero rano nacichła bitwa — kontratak niemiecki załamał się. Wojska sowieckie wbiły się o kilka kilometrów dalej na zachód stąd i Niemcy zmuszeni byli się cofnąć.

Na polu bitwy leżało kilkanaście rozbitych wozów, kilkanaście rozdartych straszliwie zmasakrowanych koni. Poza tym znów słońce świeciło i skowronki, jak zawsze, śpiewały.

Tomek, patrząc z daleka na trupa wałacha, na żołnierzy skulonych w okopach, nagle zaczął pełznąć na wschód, a skoro się dostał za olszynkę, porwał się na nogi i jął chyłkiem uciekać.

Jeszcze tego dnia przeszedł Wisłę i jeszcze tego dnia wrócił do rodzinnej wsi.

— Patrzcie, Tomek prowadzi konia! — śmiał się krzywo stary Burdza.

— No, Tomek, gdzieś u jakiego parobka zostawił klaczkę?

Synowa stała, spłakana i tarła oczy.

— Zostawiłem wiązaną u chłopa za Wisłą. Wrócę po nią, tylko pieniędzy wezmę — zaburczył naraz Tomek. — Poza tym kupiłem buty.

Otarł łysinę, zdjął plecak i nagle ziewnął.

— Franka, daj kwaśnego mlika — przecież zasłużyłem, buty, klaczkę kupiłem. Stoi, psiachmać, uwiązana u jednego chłopa u wierzby.

Poszedł jeszcze tego dnia za tą klaczką, ale już nie na linię, a za front w kierunku południowym

STEFAN LICHAŃSKI

PROBLEM WARSZAWY

W nr 21 „Tygodnika Powszechnego” Wojciech Kętrzyński w artykule „Warszawa 1944” podejmuje próbę *rehabilitacji powstania warszawskiego* i określenia jego historycznej doniosłości. Autor usiłuje uzasadnić w tym artykule tezę o potrzebie a nawet konieczności podjęcia akcji zbrojnej w sierpniu 1944 r. Śmiały i znakomicie napisany artykuł Kętrzyńskiego jest niewątpliwie bardzo cennym wkładem w dyskusję nad zagadnieniem powstania warszawskiego, ponieważ przynosi sformułowanie problemu odmiennego od tego, z jakim spotykaliśmy się w dotychczasowych wypowiedziach na ten temat.

Gdyby się nawet zgodzić na takie postawienie zagadnienia, jakie proponuje prof. Kętrzyński, trudno jednak przyjąć bez zastrzeżeń konkluzje jego artykułu. Pozytywna bowiem ocena powstania warszawskiego wyprowadzona jest w omawianym artykule z *założeń*, nasuwających poważne wątpliwości. Rozważmy bowiem bliżej takie nader znamienne sformułowanie: *„Są problemy, które naród polski na swój specyficzny, irracjonalny sposób pojmuje. Są to przede wszystkim honor i suwerenność. Jakiekolwiek naruszenie tych pojęć powoduje odruch rozpaczliwego protestu, który wybucha wbrew i mimo wszystkiemu. Jakkolwiek beznadziejne byłyby okoliczności walki — naród poświęci zawsze wszystko w obronie tych świętości. Być może, że inne narody mają na te zagadnienia pogląd inny, bardziej utylitarny. Może nawet mają rację. Polacy jednak rozumieją to inaczej”.*

Prof. Kętrzyński, wprowadzając pojęcia „honoru” i „suwerenności” nie stara się ich bliżej sprecyzować. Nie chodzi tutaj tyle o poprawną logicznie definicję, ile o określenie tych pojęć właśnie z punktu widzenia historyka. Nie ulega przecież wątpliwości, że pojęcie „honoru” jest typowym wytworem okresu feudalnego, a „suwerenność” wywodzi się z okresu natchnionego przez liberalizm kultu „samostanowienia narodów”. Mamy tu do czynienia ze zbitkami pojęciowymi, którymi można by się posłużyć dopiero wtedy, gdyby się określiło, jak to Polacy pojmują „honor” i „suwerenność”, jak tłumaczy się na język pojęć typowe dla naszego narodu intuicyjne rozumienie tych terminów.

Prof. Kętrzyński poprzestaje na stwierdzeniu, że my honor i suwerenność pojmujemy „irracjonalnie”. Ba, ale zadanie uczonego, zadanie historyka polega na tym, żeby wyjaśnić *dlaczego tak się dzieje*, a zadanie publicysty propagującego pewien typ praktycznej filozofii historii—na tym, żeby pokazać czy *tak* być *powinno*? I na tym polega właśnie podstawowy błąd autora, że na te pytania nie stara się w *ogóle* odpowiedzieć, że przyjmuje historiozoficzny irracjonalizm Polaków jako coś bezpośrednio z nieba zesłanego i zrozumiałego samo przez się. „My już tacy jesteśmy”, mówi sam ton wywodów prof. Kętrzyńskiego.

Ale tu nasuwa się pytanie: czy naród ma dbać przede wszystkim o to, by w formie możliwie czystej i nieskażonej przechowywać pewien typ ludzkiej osobowości, typ, który przecież jest produktem jakiegoś określonego momentu historycznego i właściwej temu momentowi sytuacji politycznej, społecznej i kulturalnej, czy też o to, by być *jako całość* czynnikiem twórczym ważnym w życiu współczesnego świata. Przecież jedno drugiemu nie przeszkadza, — powie ktoś. Odpowiadamy na to: czy przeszkadza, czy nie, to zależy właśnie od owego typu osobowości, który chcemy uważać za wzorcowy. I w tym wypadku, który nas konkretnie obchodzi, musimy powiedzieć: *przeszkadza*.

Irracjonalne porywy zapisały wiele pięknych kart naszej historii: Warna, Częstochowa, Wiedeń Samosierra, Rarańcza są tego najlepszym dowodem. Ale z tych samych irracjonalnych źródeł wypłynęło awanturnictwo na ukraińskich Dzikich Polach, z tego irracjonalnego chaosu polskiej umysłowości wyłoniły się takie postacie, jak Samuel Zborowski, Diabeł-Stadnicki, zdrajca Radziejowski, rokoszanin Zebrzydowski, temu właśnie chaosowi przypisać należy bezskuteczność wszelkich prób reform socjalnych i politycznych w Polsce przedrozbiorowej i trzynastoletnią, tak tragicznie zakończoną, operetkę sanacyjnej „mocarstwowości”.

Prof. Kętrzyński chce zryw powstańczy Warszawy wyprowadzić z irracjonalnego kultu honoru i suwerenności, przy czym ów kult tych imponderabiliów rozumiany jest jako stała cecha charakteru polskiego. Freud i Adler podważając wiarę w istnienie w psychice ludzkiej cech stałych, kładą nacisk na rolę kompleksów i urazów w życiu duchowym człowieka. Prof. Kętrzyński wprawdzie dopuszcza możliwość, że ów irracjonalny kult honoru i suwerenności jest również wynikiem jakiegoś urazu utrwalonego w psychice zbiorowej naszego narodu, ale nad sprawą tą przechodzi do porządku wcale jej szerzej nie roztrząsając. Tymczasem rola kompleksów i urazów w życiu psychicznym zbiorowości jest nie mniejsza niż w życiu jednostek, chociaż oddziaływanie tych elementów jest niewątpliwie inne i ich wpływ na zachowanie się grup społecznych i narodowych znajduje wyraz w formach nie koniecznie analogicznych do tych, w jakich przejawia się on u poszczególnych ludzi. Zdaje się jednak, że do zrozumienia psychozy powstańczej ludności Warszawy konieczne jest zdanie sobie sprawy z działania dwu kompleksów: kompleksu „mocarstwowości”, będącego kompensacyjnym wyrównaniem poczucia politycznej niedoli z okresu rozbiorów, a utrwalonego jeszcze w psychice polskiej przez propagandę sanacyjną, oraz kompleksu antyrosyjskiego, wytworzonego przez okres niewoli i wojnę 1920 roku a podsycanego nieufnością mieszczaństwa oraz w jego kręgu ideologicznym znajdujących się grup inteligencji i proletariatu do ustroju sowieckiego.

Insurekcja warszawska 1794 r. była tak samo porywem irracjonalnym, jak powstanie 1944 r. W obu tych wypadkach świadoma, oficjalna ideologia powstańcza wysuwała na plan pierwszy sprawę honoru narodowego i suwerenności. Ale w obu tych wypadkach działały różne determinanty socjalne i psychologiczne. W powstaniu 1794 r. działała tradycja politycznej niepodległości, trwającej osiem stuleci oraz wola obrony reform społecznych zagwarantowanych konstytucją majową, których wprowadzeniu w życie przeciwstawiała się reakcyjna Targowica polska wspólnie z reakcyjną monarchią rosyjską. W powstaniu warszawskim 1944 r. u źródeł powstania leżał odziedziczony po czasach rozbiorów kompleks niepełnowartościowości narodowej, kompensujący się „wolą mocy” i bezwzględnej samodzielności politycznej oraz lęk przed możliwością przewrotu socjalnego. Nie były to oczywiście przyczyny jedyne, ale z ich działania trzeba sobie dobrze zdawać sprawę, by móc należycie ocenić historyczną rolę powstania warszawskiego i wyciągnąć z tej oceny wnioski o praktycznej doniosłości. Pod czarem ułańskich szarż i patosem barykad kryje się naga prawda historycznego konkretu. I do niej właśnie trzeba docierać — choćby za cenę rozwiewania uroczych i urocznych złudzeń.

ZYGMUNT SIERP

Chłopi

Nieogolone,
szczeciniaste
brody,
w paluchach twardość grabi,
żyły sznurami z konopi,
portki w kolanach wypchnięte,
niezgrabne —
chłopi —
klną ziemię —
w wysokie włóki nieba patrzą
i z ławy sękatej
plują w zdumione płomieniem nasturcje,
w sałatę,
do głowy stukają po rozum powszedni — — —
rozum chleb rodzi
i ziemia,
a ziemia się w niebie przegląda zazdrośnie —
Pańskiego Przemienienia jej trzeba —
rozum na grzędzie siadł kurzej,
i rano niejedno przespał,
tylko ziemia się pleni
i chłopi — — —
brudnym jęzorem przedrzeźnia ich miasto
a wiejski Panjezus nie dowidzi,
ma twarz zakurzoną
i piach w oczach,
a w mieście jest bogaty
i ma żyrandole — — —
nie ma słońca —
słońce jest u chłopów
i pole
i miód ciszy łąkowej noszą w uszach zające
i niepokój
rośnie w trawie i sercach,
co wieczór
gwiazdy strzechom zmrożonym
coś szepczą — — —
sen jest twardy
jak dno kolebki.

1939

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Nad Odrą

JÓZEFOWI SRODZE

Hej, stepy fabrycznych hut,
pochód kabla i perfuma oliwy —
trud
żywy,
w którym dal i smęt i ton.

Woła kiosk z rogu ulicy,
jak pocisk artylerii,
wołają, wyją
żelbetony, syreny, niebiosa
woła cień armat i broń,
i śpiew przelotnych ptaków w pszenicy.

Nuże, sierp, kielnia i kosa,
traktor, krający imperium!
Na Śląsk! Na Śląsk!

Za moru grób, za hitlerowski raj,
za łzy palonych, łzy czeremsze!
Za kraj nasz — w kraj, ten kraj,
skąd wesoła Odra szemrze.

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Koral Kaliny

Morze uwieszone u jej brzegów,
niesie moją Ojczyznę niebogatą:
podpieraną wierzbą rosochatą
pełną zadymki i śniegu.

O cierniowa, polna panno
złożona do trumienki —?
Jeszcze żywiesz w echu piosenki,
jeszcze świecisz gwiazdą zaranną.

A ja, syn dębów i pól, przebijam się uporem,
nad historią się schylam smutny:
jak mgła, dychawica nawiedza nas wieczorem —
i tylko wiatr —
i tylko noc,
tylko dudnienie kroków okutych.

Do cierniowej się pomódl.
Do polnej — niech będzie różańcową —
w ciszy domów —
w zapachu orki —
niech będzie nawet białą łyżką jodłową.

Lecz nie schylaj się, nie upadaj,
pomilcz cicho nad historią:
Dzwony, echa, karabiny,
jakby koral kaliny, —
na bruk upadną glorią.

17 grudnia 1943

Z dawnej literatury ludowej

Opowieści i pieśni w starych pismach

KTO BYŁ DRUGIM PISARZEM LUDOWYM?

Zarówno w „Wyborze" Konińskiego, jak i w dyskusji nad nim — mało uwagi poświęcono chronologii i „historii" literatury ludowej. Jedynie pilniejszy czytelnik doczyta się, że pierwszym znanym pisarzem ludowym był Kostucha Jakub, o którym wzmiankę zamieścił Kurier Warszawski z 1. IX. 1820 r. Fakt ten stanowi datę w sporządzonej przez Konińskiego „Tablicy chronologicznej zawierającej przegląd najważniejszych faktów z literatury ludowej na tle zdarzeń historycznych i literackich, mających bezpośredni lub pośredni związek z demokratyzacją społeczeństwa, względnie świadczących o zainteresowaniu się warstw wykształconych życiem ludowym". Ponieważ następną datą w tej tablicy, dotyczącą bezpośrednio pisarstwa ludowego jest r. 1858, kiedy to na Śląsku zaczyna pisać Jan Ligoń, przypomnieć należy o utworze, który lukę między tymi dwiema datami zmniejszy, jakkolwiek nie wątpimy ani na chwilę, że poprawka jest bardzo doraźna i że obszerna w tej chwili luka zostanie wkrótce zapełniona większą ilością i bardziej ważkich faktów.

Utworem tym jest wiersz, (a właściwie pieśń) wydrukowany w numerze 10 z października 1842 roku Leckiego Przyjaciela Ludu o przydługim nieco, zagmatwanie czy nieporadnie wyłuszczającym sprawę, tytule: „Pieśń o zamordowaniu trojga dziatek w mieście Jansborku 16-go maja r. 1830 przez ich własną matkę popełnionem, jako też i sama tamże swój koniec wzięła razem ze swoimi dziatkami życie sobie odjąwszy". O autorze jego dowiadujemy się z przypisu do wiersza pióra redaktora pisma X. Gizewiusza: „Te wiersze napisał poczciwy gospodarz, Frycz Olszewski w Różyńsku, dnia 22 września roku 1833. Udzielamy je tu z rękopismu jego, jako oczywiste świadectwo, że i między nieokrzesanym polskim ludem naszym znajdują się tacy, którzy się nie tylko do pługa (sochy) i cepów biorą, ale nieraz nawet i po pióro sięgają i to, co się im po głowie snuje lub im serce wzrusza i rozgrzewa, ku własnej i drugich zabawie na papier wylewać usiłują. Niech się z takich zjawisk przekonają wszyscy, że i pod Mazurską strzechą (słomianem dachem) nie mieszka sama dzicz (zdziczała ludność), że i w Mazursko - polskich piersiach bije serce czułe i szlachetnejszym myślom otwarte i przystępne, a że nie trzeba tych prostaków koniecznie zniemczyć, aby o czem wyższem myśleli, mówili, a nawet pisali".

Pieśń napisana była, co naturalne i znamienne, pod śpiew — skoro za wskazane uważano dodać: „Nota: Miałem Jezusa w sercu kochanego". Pisana jedenastozgłoskowcem rozbita jest graficznie na zwrotki czterowierszowe o rymach a a b b; zwrotek jest 17; sporo rymów gramatycznych (11 par ma 17 zwrotek).

Jarmarczność tej pieśni, z jej cechami genetycznymi oraz literackimi, zasługuje na szczególne podkreślenie dlatego, że pozwala, albo raczej każe przypuszczać, że tak właśnie wyglądała literatura ludowa, co skolei może przesunąć fakt jej egzystencji o ładny szmat czasu wstecz. By się utwierdzić w tym mniemaniu, wystarczy zadać sobie trud przejrzenia choćby kilku roczników Zorzy i Zarania wydawanych przez Miłguja-Malinowskiego oraz Jutrzenki ks. Kwiatkowskiego.

***

Obok kolędy czy nawet pieśni wielkanocnej znajdujemy, odmienną niż one zresztą pełniącego funkcję, krakowiaka. Skoczny, chciałoby się powiedzieć spontaniczny, jego rytm doskonale nadawał się do żartobliwych ucinków, drwiących z wrogów chłopa i jego sprawy, w lekkiej formie omawiających gnębiące wieś zło: wódkę i towarzyszącą jej demoralizację. Zazwyczaj mieszczą się te krakowiaki na marginesie pisma, będące czymś w rodzaju felietonu, a ze względu na możność śpiewania i rozpowszechnienia nawet aktualnego kupletu.

WIERSZOWANA PUBLICYSTYKA

Dola chłopska była szara, bezbarwna, niewymowna. Artykuł publicystyczny, z natury rzeczy operujący uogólnieniami popadał często w ogólniki, w których ginie cała surowa prawda życia chłopskiego.

Jedynie poezja rozporządza takim arsenałem środków wyrazu, który pozwala ująć czy przedstawić rzeczy ogólne w formie konkretnej.

Zdarzają się przeto wiersze o charakterze reportażowym, mieszczące w sobie cały ładunek konkretów z mocnym przecie wydźwiękiem publicystycznym.

Cytujemy tu wiersz „Parobek dworski":

PAROBEK DWORSKI

Za marne wynagrodzenie
Pracuje ten człek na pana
Straszne jego położenie,
Dola psia i opłakana.

Izbina — nikiej jaskinia.
Tam ma z rodziną mieszkanie,
Stół bez nogi, tapczan, skrzynia,
To całe umeblowanie.

Pożywienie — chleb, ziemniaki;
Na inne go nie stać wcale,
W roczne święta i kusaki,
Czasem mięsa po kawale.

Jeden kubrak, kapocina,
Kożuch lichy, koszul parę...
Nie więcej ma kobiecina
Dzieci dodzierają stare.

Do roboty świtem idzie
Późno do dom w nocy wraca...
W ciągłej pracy, w ciągłej biedzie
Godność swą ludzką zatraca.

Nędzny, dość często łajany,
O braci się nie kłopocze...
Dzieci chowa tak, by pany
Miały znów bydło robocze.

Gdy jest chory albo stary,
Nie może se już dać rady...
Biorą go zwykle za bary:
Ruszaj pod kościół na dziady!

MICHAŁ KOSSOWSKI

Izbica lubelska.

Forma poetycka uświęca tu niejako treść, nadaje jej specjalną ważność, wydźwiga socjalny schemat życia parobka folwarcznego przed oczy czytelnika.

To nie literatura — to czyn poety.

W innych rodzajach poezji z zakresu dydaktyczno - utylitarnego czy satyrycznego spotykamy nader rzadko bajkę:

„Zaranie" Nr 42 16 października 1913 r.

BAJKA

Świnia raz krążąc, gdzie dąb rośnie stary,
Żre smacznie owoc, co dały konary.
Podjadłszy do woli, ryjem do korzeni
Sięga — i gwałtem wyrywa je z ziemi.
— I po co niszczysz, bezmyślna, korzenie
Drzewa, co dają tobie pożywienie?
Spytała świni — wrona doświadczona.
A ta jej na to bąknie obrażona:
„A co mnie obchodzą korzenie dębowe,
Ja tylko o żołędzie dbam smaczne i zdrowe.
— — — — — — — — — — —
Z bajki tej przykład niech wezmą swojacy,
Iż dębem — lud, a świnią — próżniacy.

JANKO KUROWIAK

Skąpo udziela się miejsca liryce, bezpośredniej zwłaszcza. Niepotrzebność jej była widocznie zbyt oczywista, by obciążać nią łamy pism. Jeszcze raczej Jutrzenka, pismo ks. Kwiatkowskiego je umieszcza, wykazując tym specyficzną tendencję do kultywowania t. zw. uczuć bezinteresownych. Poza tym pozostaje ona głównie prywatną własnością bardziej uzdolnionych i rozbudzonych literacko autorów. Stąd szukać jej wypada po nielicznych ubożuchnych tomikach poezji.

Zdzisław Skwarczyński.

W. L. BRUDZIŃSKI

MICKIEWICZ ŻYWY

W pojęciu wielu Adam Mickiewicz to wieszcz „szlachetczyzny", który ginący ten świat uwiecznił mocą swego talentu. Dotyczy to przede wszystkim tych, którzy powierzchownie i z niechęcią, jaką budzi wszystko co nakazane, przeczytali parę utworów wieszcza na ławie szkolnej, natrudzili się przy rozbiorze tych utworów, nauczyli się może paru dat z życia poety, aby po zdanej maturze wszedłszy w życie zapomnieć szczęśliwie wszystko. Pamiętają bodaj tylko, że Mickiewicz to oczywista wieszcz narodowy, że napisał „Pana Tadeusza", że gdzieś — bodajże w tym właśnie „Panu Tadeuszu" — był „Koncert Jankiela" stale deklamowany na akademiach i że wreszcie w tymże „Panu Tadeuszu" szlachta dobrze jadła i dobrze piła. Dla tych osób Mickiewicz jest rodzajem jakiejś relikwii narodowej, złożonej dawno do muzeów, która z życiem bieżącym nic nie może mieć wspólnego i interesuje tylko uczonych profesorów, toczących wojny o właściwe ustalenie jakiegoś tekstu.

Nie ma nic bardziej fałszywego, niż to pojęcie. Pięć przeszło lat okupacji tym bardziej oddaliło nas — zwłaszcza na ziemiach włączonych do Rzeszy — od żywego Mickiewicza, którego poszczególne wypowiedzi właśnie dopiero dzisiaj nabierają właściwego znaczenia.

Bo wróćmy choćby do tego „szlacheckiego" „Pana Tadeusza". Cóż tam mówi tytułowy bohater utworu (Księga XII, w. 498):

„Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję,
Bezpieczniej zrobię, kiedy władzy się wyrzekę
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
Sami wolni, uczyńmy i włościan wolnemi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą".

Mowa tu przede wszystkim o *uwłaszczeniu* chłopów. Bojowa postawa Mickiewicza — postępowca kazała mu złożyć w Kole Towiańczyków oświadczenie, które dowodzi, że bolał go ogrom krzywdy społecznej, oświadczenie, w którym już poszedł o krok dalej:

„Prawo chłopa naszego do ziemi, na której siedzi, jest niezaprzeczone. Cała własność człowieka, wedle mnie, zdaje się być jednej tylko natury. Szнury chłopskie *i grunta, na których dziś szlachta siedzi, były dawniej własnością komuny* (gminy)".

Bystre i krytyczne spojrzenie w rzeczywistość a — jak dziś widzimy — i w przyszłość, pozwoliło Mickiewiczowi jednocześnie dojrzeć właściwych wrogów chłopów:

„Reakcjoniści — pisze w artykule p. t. „Chłopi" w paryskiej „Trybune Ludów" (1849) — przedstawiają się za obrońców własności wogóle, a chłopskiej w szczególności, podając ją za zagrożoną przez Rewolucję".

„Ale chłopi francuscy doskonale znają istotnych wrogów swojej własności".

„Ci wrogowie to przecież przyjaciele reakcjonistów;... to żołdacy Bluechera, którzy, złupiwszy i ograbiwszy wielką liczbę posiadłości prywatnych, gotowali się niszczyć w Paryżu własność narodową, jak pomniki i mosty, które trzeba było okupić, dając Prusakom miliony, wzięte z własności chłopa; ci wrogowie to emigranci legitymistyczni, którzy swemi groźbami... zdołali wydrzeć chłopom miljard odszkodowania".

Jak więc widzimy, Mickiewicza cechowała wyraźna postawa bojowa, cechowało zrozumienie potrzeb włościaństwa. Stwierdzając, że „grunta, na których dziś szlachta siedzi były dawniej własnością gminy", wypowiedział się on tym samym za zwróceniem tych gruntów chłopom.

Ten, rzec można, testament społeczny wieszcza, zostaje dzisiaj nareszcie bezkompromisowo wykonany, wbrew tym samym, rozpoznanym przez niego siłom wrogim postępowi, które sabotują dziś reformę rolną, jak sabotowały za czasów Mickiewicza uwłaszczenie chłopów.

Kolumna młodych (województwo Łódzkie) *)

MINIAS MARIAN

NA POSTERUNKU

Od zachodu szła burza. Raz w raz groźne pomruki, przechodzące czasem w potężne ryki, mówiły o nawałnicy, jaka rozszalała na zachodnich rubieżach Polski.

Wraz z pierwszymi, usłyszanymi detonacjam, pokazały się na szosach i traktach idących z zachodu pojedyńcze fury uciekinierów. Za pierwszymi zwiastunami szalejącej burzy, poszło ich więcej, aż wreszcie zadudniły szosy i ukazały się nieskończone łańcuchy skrzypiących fur, przeładowanych skrzyniami, kuframi, tobołami, pierzynami, na których siedziały gromadki umorusanych, zakurzonych dzieci, kobiety z niemowlętami przy piersi, z rozwianym włosem, wybladłym obliczem i pełnymi przestrachu oczyma.

Obok wozów, uwiązane na postronkach lub gnane przez wyrostków szły krowy, owce i kozy.

Furami jechali nieogoleni mężczyźni, o niewyspanych, zmęczonych twarzach.

Jechali dniem i nocą, a z nimi szła straszna wieść mordów, pożogi i zniszczenia.

Strach siadał po przydrożnych rowach, popod chałupami, i wkradał się powoli w serca, tak, że niejeden widząc te nieprzerwane tabory opuszczał ręce, stawał pod płotem, patrzał i patrzał godzinami na ciągnące bez przerwy wozy.

Niejeden rzucał pług, brony, wypychał wóz na podwórze, pakował pościel w toboły, szykował żywność, a gdy załadował na wóz, wyglądał za chałupę, rychło li przyjdzie czas na niego.

Z całych Gatek, jeden tylko Maciej Dąb nie szykował się do drogi, lecz jak zwykle, zaprzągł konie do wozu i czyścił pług do orki.

— Maciek, a bójże się Pana Boga — lamentowała żona — Wojtki już zbierają się, Bartki i Łuka tyż; ponoć cało wieś szykuje się na potynge, a ty ani myślisz?... w pole jedziesz?...

— A w imię Ojca i Syna! — krzyknął Maciej — a cozes ty zwariowała, czy myślisz?... Dom zostawić bez opieki?... gospodarkę?... dobytek?...

— Wszyscy jadą — próbowała się bronić.

— A niech jadą... Jak jeden głupi, to wszyscy mają wariować?

— Cała wieś zbiro się...

— Niech się zbiro!... Niech się zbiro ich dziesińć!... Niech jadą, gdzie ich oczy poniosą!... Na kuniec świata!... a ja byde siedzioł na miejscu!

— Som na wsi?... — lamentowała —

— Som. — I nie patrząc na płacz kobiety czyścił dalej pług.

— Maciek, opamiętaj się, — próbowała jeszcze.

— Przestaniesz!... Dzieci pilnować!... Nie twoja w tym głowa, co robię! — krzyknął, — pogroził batem, zaciął konie i ruszył kłusem.

— Powariowali — myślał — słyszano to, żeby kto zostawił cały dobytek, całe mienie, na łasce boski, a som, jak ten cygan, ładował pierzyny i jechoł Bóg wi gdzie? —

— A wy gdzie jedziecie? — zagadnął przejeżdżającego Macieja Bartek Sobków.

— W pole.

— Nie zbirocie się?

— Gdzie?

— Uciekać.

— Dokąd?

— Bo jo wim?... — odparł zakłopotany Bartek. — Tam gdzie wszyscy.

— A wszyscy gdzie?

— Pewnikiem do Warszawy, bo tak mówią niektórzy.

— Jo nie jade — rzekł Maciej.

— I jo nie rod, ale kiej wszyscy wybirają się.—

— Jo tu mom co robić, — mówił Maciej. — Pole czeka... rolo czeka... trza orać... siać... To nasz obowiązek!... Co mnie do wojny. — Tom jest wojsko... Nie obsiejesz, nie bydzie obsiane... Głód dla rodziny i kraju. Nie trza patrzyć na lekkoduchów... Pług na wóz i w pole.

Śmignął na konie i pojechał rączo przez wieś.

Ten i ów wybiegł na drogę patrzeć, czy to już wyjeżdżają, lecz zobaczywszy Macieja jadącego z pługiem w pole, postał chwilkę, popatrzył, pomyślał i powoli zawracał do chałupy.

— Czego się gapisz?! — krzyknęła żona na Bartka — wynoś na wóz!

— Urzekło me, czy co? — rzekł ocknąwszy się; lecz nie ruszył się z miejsca. Błyszczący na wozie Macieja pług lśnił ciągle przed bartkowymi oczyma.

— Bartek!... a i czegoj się tam tak gapisz?!... Jadą?

— Kto? — odrzekł, zbudzony z zadumy.

— Ze wsi.

— E... e... e...

— To czegoj tam patrzysz i patrzysz?

— A to myślę, że orka stoi na polu; nadchodzi pora siać, a nie obrobiune.

— Już ci Maciek poprzekręcał we łbie!... Chce si się ostać?... Stój i patrz a nie szykuj, to jakem twoja kobita, pójdę z dziećmi, a ciebie zostawie.

— Nie złość się, — uspakajał ją. — Jazda jazdą, a co się zaorze, to zaorze...

— To se orz! — krzyknęła trzaskając drzwiami.

— Maciej mo racje, — myślał. — Kto mi zaorze?... obsieje?...

A Maciej zajechał na pole, wyprzęgnął konie, założył do pługa, przeżegnał się i począł orać równe, proste jak strzelił skiby. Dojeżdżał do końca, wywracał i znów zapuszczał błyszczące ostrze lemiesza i pruł nowy zagon pulchnej gleby.

Nie obchodziło go, że szosą rozdudniła się nawała fur, jak nadciągająca gradowa chmura, że wpośród dudnienia, dał się słyszeć jakiś pomruk, że cała wieś aż kipiała od bieganiny i pogłosek, że wszyscy byli już spakowani i czekano tylko hasła do drogi. Orał i orał z pogardą i spokojem, jakgdyby wokół niego nic się nie działo, jakgdyby świat był cichy, spokojny, słoneczny jak co dnia, rozśpiewany szczebiotem zbierających się stad jaskółek, krakaniem wron i kruków. Żegnał się czasem i szeptał pacierze, by uprosić Boga o dobry siew i urodzaj.

Pomruk stawał się coraz donioślejszy, aż wreszcie zaczął zamieniać się w gwizd, świst, warkot i jak sześć jastrzębi pomknęło ku wsi sześć samolotów z czarnymi krzyżami.

Maciej przystanął i patrzył.

Samoloty przeleciały nad wsią w stronę szosy. Nie patrzył dalej Maciej, gdzie jadą i co będzie śmignął na konie i oddał się pracy. Zbudziły go dopiero z tego iście nieziemskiego spokoju strzały, a raczej gruchot karabinów maszynowych, krzyk, pisk i końskie rżenie.

Przystanął i spojrzał ciekawie.

Zobaczył na szosie olbrzymie słupy dymu, jakieś potworne fontanny, a jednocześnie przeszyły powietrze głuche grzmoty.

Szosa była bombardowana.

— Biją spokojnych ludzi? — zdziwił się. — I pocóż tu uciekać, żeby śmierć połknąć?...

W serce Macieja zaczął wkradać się niepokój. Masakra ludzka na szosie zastanowiła go.

Trwało to jednak chwilkę. Niepokój starał się uciszyć.

— Czy to jo nieprzyjaciel?... jo wojuje?... Przecie tu nie ma wojska?... Spokojny człowiek...

Ryk wzmógł się.

Samoloty przybliżały się

Nagle, tuż w pobliżu, rozdarł powietrze potworny huk. Ziemia zadygotała i Maciej ujrzał, jak obok chałupy Walków prysła w górę fontanna czarnego dymu, a za chwilę, cała zagroda stanęła w płomieniach.

— Poli się — rzekł zbielałymi wargami. — Jezu, Maryjo w wieś biją... za co?.. Ojcze nasz któryś jest w niebiesiech — modlił się i poganiał konie, żeby czemprędzej doorać do końca.

Znów targnął powietrzem potworny huk i Jaśka Zagaja ogród pociemniał od dymu.

Odezwały się karabiny maszynowe.

Zatrzymał Maciej konie.

Jeden z samolotów pędził wprost na niego.

Strach zjeżył mu włosy.

Ugięły mu się nogi i ukląkł na świeżej, dymiącej jeszcze roli, wzniósł oczy do nieba, a słowa modlitwy dławiły gardło.

Zaterkotał karabin.

Rola, podrywana kulkami, podskakiwała i pryskała.

— Ucieczko grzesznych, módl się za nami, — szeptał.

Nagle poczuł, że go coś sparzyło w rękę i obie nogi.

— Trafili me, — szepnął padając w bruzdę.

W tem zatrzęsło się. Świst i ryk rwącej się bomby zagłuszył krzyk Macieja. Gryzący dym i grudy ziemi okryły konie, Macieja i pług.

Gdy dym opadł, pług jak był w roli tak stał, tylko konie leżały z porozrywanymi bokami, poodrywanymi nogami, zbryzgane ziemią i buchającą świeżą, dymiącą krwią.

Maciej leżał w bruździe. Żył jeszcze. Oczy miał otwarte, wargi coś szeptały, a ręce raz wraz otwierały się i zamykały, nagarniając pełne garście świeżo zoranej roli, jakgdyby tęskno mu było rozstać się z nią, jakgdyby pragnął zatrzymać ją przy sobie, czuć ją w dłoni i zabrać w zaświaty.

Obok nóg i piersi widniały czerwone plamy. To rola wsysała w siebie na przyszłe plony krew chłopskiego serca.

STEFANIA HAŁADAJ

Wojna skończona

Maluś moja, czemuś dziś tak wesoła?
Dlaczegóż Ci znikła ta zmarszczka z czoła?
Tatko nie poszedł jak zwykle do pracy,
Coś z panem Adamem żywo tłumaczy.
Jadą ulicą jacyś żołnierze,
Lecz na ich widok strach mnie nie bierze.
Błyszczy się sztandar biało-czerwony.
Każdy jest jakoś dziwnie wzruszony.
Wszyscy się jakoś dzisiaj radują,
Jak w imieniny wspólnie winszują.

Tu matka syna swego poznała,
Którego stratę gorzko opłakała.
Tam wita męża żona wzruszona,
Jej twarz jest łzami szczęścia zroszona.
Powiedz mi mamo, czemu ta zmiana?
Czyżby już wojna była wygrana?

Dziecino moja, tyś jeszcze mała,
Ale twa główka już zrozumiała:
Ci, co ich widzisz, to polscy żołnierze,
Którzy nam wolność dali w ofierze.
Słyszysz? Bądź cicho! Marsza już grają!
I „Jeszcze Polska" z całych sił śpiewają.

Skarga

Mamo moja, czy Ty wiesz,
że w konrlagrze siedzą?
Żyję tutaj jak ten zwierz,
Ach, Mamo, czy wiesz?
Przy pracy ciężkiej rozmyślam o Tobie
Czemu żeś odeszła? Czemu leżysz w grobie?
Dlaczegoś mnie nie wzięła w zaświaty do Boga?
Nie ogarnia mnie żadna przed śmiercią trwoga.
Chcę być razem z Tobą;
Jak w dzień urodzenia,
Już tak mnie zmęczyły troski udręczenia!
Gdyby nie ufność w Bogu, dawno bym nie żyła.
Lecz wierzę, że przyjdzie oczekiwana chwila:
Wolność! Ojczyzna! Swoboda upragniona,
Krwią naszych braci drogo zapłacona.

Marzenie

Smutno dni nam schodzą, czas powoli mija,
Każda chwila w lagrze bardziej nas zabija.
Nadchodzi już wojny i niedoli koniec,
Wiemy, choć nie mówi o tym żaden goniec.
Sercem to czujemy, że wolność nadchodzi.
Któż nam poda rękę? Kto nas oswobodzi?
Tak chcę jeszcze ujrzeć polskiego żołnierza,
I wolności sztandar u morza wybrzeża.
Tak pragnę też jeszcze w mej Pilicy pływać,
W leśniczówce wujka na gitarze grywać.
W mieście mym usłyszeć dzwony starej fary,
I jak pieśni śpiewa ten dziaduszek stary.
Jednokonną bryczką jechać do kościoła,
„Śpiesz się, ty leniuchu!" gdy babcia zawoła.
Potem do proboszcza w gościnę zawitać.
W dni pochmurne książki sobie czytać.
Pohasać po łące z Burkiem przyjacielem,
Plony zbóż oglądać z dziadkiem dobrodziejem.
Gdy się kiedyś spełnią te moje marzenia?
Czy doczekam wreszcie ich urzeczywistnienia?
Choć życie dzisiejsze jak liść wśród zawiei,
Pomimo to jednak nie tracę nadziei.

***) OD REDAKCJI**

Dzisiejsza „Kolumna Młodych" przynosi prace Mariana Miniasa i Stefanii Haładaj.

Marian Minias debiutował już na łamach „Wsi" (Nr 4) opowiadaniem „Na własnej roli". Nad prozą jego ciążą jeszcze tradycje reymontowskie i zbytnie upodobanie w manierycznych „smaczkach" literackich. Posiada jednak Minias dar bystrej obserwacji i niewątpliwe zdolności narratorskie, które pozwalają widzieć w nim materiał na tęgiego prozaika.

Próby poetyckie 18-letniej Stefanii Haładaj powstały podczas pobytu autorki w obozie koncentracyjnym Buchenwald. Znać w nich naiwność i nieporadność młodości, dużo w nich usterek technicznych, wynikających z kompletnego braku przygotowania teoretycznego. Wywierają te wiersze jednak wrażenie swoją świeżością i bezpośredniością wypowiedzi. Trudno je uważać za utwory dojrzałe, ale jako pierwsze próby niewątpliwie zasługują na życzliwe przyjęcie.

ECHA POZJAZDOWE

Zjazd pisarzy chłopskich nie wzbudził w prasie polskiej — nie wyłączając czasopism literackich — należytego oddźwięku. Poprzestano na artykułach lub nawet notatkach czysto sprawozdawczych. Nasze pisma literackie tak gorliwie zajmują się deklinowaniem rzeczowników „demokracja“, „reakcja“, „postęp“, „realizm“ itp. oraz „przezwyciężaniem“ Gide'a, że nie mają czasu ani miejsca na dokładne i poważne omówienie spraw związanych z problemem kulturalnego rozwoju wsi polskiej. Najmodniejsza w bieżącym sezonie jest zabawa w t. zw. „realizm humanistyczny“, o którym się dużo i mętnie gada i pisze, ale którego praktycznie nie realizują w swej działalności pisarskiej nawet jego najwrzaskliwsi propagatorzy. W każdym bądź razie zabawa ta jest o tyle miła i pożyteczna, że pozwala literackim pięknoduchom odwracać się od problemów dla naszego życia kulturalnego ważnych i istotnych i pozostawać we właściwej sobie sferze urojonych zagadnień i nieodpowiedzialnej gadaniny. Może to nawet i lepiej, bo wieś sama będzie musiała pomyśleć o swoich sprawach i zabrać się serio do roboty.

*

Jeden z niewielu obszerniejszych artykułów o zjeździe napisany przez Jalu Kurka ukazał się w nr. 192 „Dziennika Polskiego“. Za dużo w nim niestety osobistych wspominków autora, zbyt zaś powierzchownie potraktowana jest sprawa literatury i kultury ludowej. Zdaniem Kurka nie warto specjalnie zajmować się kulturą ludową i jej stosunkiem do kultury narodowej, ponieważ i tak „ludowość zapładnia i promieniuje w kulturę ogólno - narodową“, czego dowodem jest ta okoliczność, że on sam (t. zn. Jalu Kurek) wykorzystał w swoim „Janosiku“ piosenki pastusze zasłyszane w Jurgowie. Wynika z tego, że sprawę należy pozostawić t. zw. „życiu“, a ono już tam jakoś poumieszcza w odpowiednich pozycjach kultury narodowej dorobek artystyczny i kulturalny polskiej wsi. Pozwolimy sobie być innego zdania niż autor znakomitej „Grypy“ i podkreślimy raz jeszcze, że bez zorganizowanej i konsekwentnie prowadzonej pracy, której jednym z głównych nurtów musi być wprowadzenie dorobku artystycznego i kulturalnego wsi w całokształt kultury narodowej, nie zdołamy panującej u nas dotychczas szlacheckiej tradycji kulturalnej zastąpić nową, prawdziwie demokratyczną i ludową.

Dziwi nas lekceważący i protekcyjny stosunek Kurka do owej „szarej, licznej gromady wiejskich skowronków“, jak określa on wiejskich literatów, wśród których znajduje się niejeden talent, godny uwagi i zasługujący na udzielenie mu pomocy i poparcia. Co do innych, to, jeśli ktoś zechce nad nimi popracować, może wyrobić z tych młodych i ambitnych ludzi spory zastęp solidnych dziennikarzy ludowych, literatów - popularyzatorów. Komu jak komu, ale Kurkowi stanowczo nie do twarzy z tymi gestami kawiarnianego arystokratyzmu wobec chłopskiej młodzieży literackiej.

*

Zajmująca dziś niewątpliwie jedno z czołowych stanowisk wśród naszych czasopism literackich śląska „Odra“ nawiązuje w nr 3 w felietonie Jacka Brzyma do warszawskiego zjazdu w sposób naogół bardzo poważny i rzeczowy. Trafiło się i tu jednak parę nieporozumień, które należy sprostować. Nie jest bynajmniej zgodne z prawdą twierdzenie, jakoby względy polityczno-partyjne skłaniały pisarzy chłopskich do prób organizacyjnego wyodrębnienia się. Właśnie ciasne doktrynerstwo polityczne dyktowało ataki na odrębność kultury ludowej i było bazą likwidatorskich zapędów, regulujących istnienie odrębnej problematyki kulturalnej związanej z emancypacją żywiołu chłopskiego. Przedstawiciele zespołu „Wsi“ przeciwstawiali się właśnie owym mieszczańsko-inteligenckim zakusom likwidatorskim.

Chodziło nam zaś w tym wypadku nie o odrębność organizacyjną pisarzy chłopskich, ale jedynie o stworzenie zespołu czy zrzeszenia, które za cel postawiłoby sobie przebudowę umysłowości chłopskiej przez rozbudzenie w niej silnej ambicji kulturo-twórczej, dalej wprowadzenie w ogólny proces życia kulturalnego problematyki specyficznie chłopskiej oraz opiekę nad chłopską młodzieżą literacką. Chyba przy takim postawieniu sprawy „Odra“ nie będzie miała do nas żadnych zastrzeżeń.

SPRZED LAT.

Parcelacja w Bocheńskim

„Przyjaciel Ludu“ Nr 9 — 1922 r.

Dobrze zrobił przewodniczący wiecu, który wyjaśnił, że reforma rolna jest, ale na papierze, a pan zawsze z niej może się wykręcić, przytaczając jako przykład obszarniczy dwór Dąbrowie p. Włodka.

A cóż z Łapanowem, z Wieruszycami? Naprzód je przeznaczono do parcelacji, a potem co się stało? Wszyscy aż nadto o tym dobrze wiedzą.

A dalej. Czyż to, że za okropną wprost cenę (pół miliona marek za 1 morgę) kupi kto z prywatnej parcelacji bankowej czy państwowej kawałek ziemi, to jest reforma rolna?

Z takiej parcelacji mogą tylko korzystać paskoplasty, i taką parcelację nazywają u nas pasko - parcelacją!

LUDOWIEC

JÓZEF POGAN

który rozpoczął pracę pisarską dopiero w latach okupacji — liczy obecnie ponad 40 lat — jest autorem nie tylko powieści

„UGORY“

której fragment drukowaliśmy w ubiegłym numerze „Wsi“; napisał w tym czasie kilka nowel i drugą powieść p. t.:

„MIESZKAŃCY W PUSTKOWIU“

W TYGODNIKU „W I E Ś“

będziemy czytać wyczerpująco tego świetnego samorodnego realistę prozaika.

Nowe pismo literackie

W Lublinie ukazał się pierwszy numer czasopisma „Zdrój“. Znajdujemy w nim artykuły Józefa Nikodema Kłosowskiego, Jana Parandowskiego, prof. Juliusza Kleinera, Marii Bechczyc - Rudnickiej, Dr Józefa Grabowskiego, Elżbiety Kozłowskiej, Zofii Szymanowskiej, Tadeusza Szeligowskiego, Edwarda Wrockiego, Zofii Karczewskiej - Markiewiczowej, kolumnę wierszy Józefa Czechowicza — z wprowadzającym artykułem Jerzego Pleśniarowicza „Poeta Ziemi Lubelskiej“, wiersze Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Heleny Platta i Eugeniusza Gołębiowskiego oraz bogaty dział kronikarsko - informacyjny. Pismo ma przedewszystkim charakter popularyzatorski i przeznaczone jest — jak pisze J. N. Kłosowski — dla czytelnika, „który zmuszony do pracy na tak zwanej „prowincji“ jest niemal całkowicie pozbawiony tego szczęścia, jakie daje człowiekowi obcowanie z rzetelnym Pięknem. Dlatego gorącym pragnieniem zespołu „Zdroju“ jest, by pismo to znalazło się tak w ręku nauczyciela, działacza społecznego, kulturalno - oświatowego, politycznego, jak: kulturalnego chłopa, robotnika urzędnika, spółdzielcy oraz przodownika świetlicowego“. Rozległa skala tematów i problemów, z jakimi spotykamy się na łamach „Zdroju“ świadczy, że zespół redakcyjny pragnie jak najsumienniej wywiązać się ze swoich założeń programowych. Jeżeli polityka redakcyjna pisma nadal rozwijać się będzie po linii wytyczonej pierwszym jego numerem, „Zdrój“ będzie mógł odegrać poważną rolę w życiu kulturalnym prowincji.

OD REDAKCJI

Z powodu braku papieru nie mogliśmy we wrześniu przejść na cotygodniowe wychodzenie „Wsi“.

Czyni nam jednak Ministerstwo Informacji nadzieję, że od października „Wieś“ będzie tygodnikiem i otrzyma papier rotograwiurowy. Uważamy, że pismu, które stało się centralnym organem wszystkich chłopskich pisarzy i pracowników kultury ludowej przysługują te minimalne prawa. Trudno nam się pogodzić z rolą kopciuszka wobec uprzywilejowanych pod tym względem pism, jak „Odrodzenie“, „Życie Literackie“, „Tygodnik Powszechny“, „Odra“, ba nawet „Świetlica Krakowska“ i lubelski „Zdrój“.

Listy do młodego poety (I)

Oczekiwałem cię na Zjeździe pisarzy chłopskich — niestety twoja choroba nie pozwoliła ci wyjechać z Topolnej. Mój drogi, nie szarp się tak wewnętrznie, nie męcz się tak — zniszczysz sobie zdrowie i życie.

Jakże mnie przejęło to, co piszesz o życiu swoim i o życiu wsi tak nam obydwóm bliskiej. Mówisz, że przez jaki miesiąc nie miałeś ni dnia spokojnego — a że noce jeszcze były gorsze niż za Niemców... Ucieczka, szukanie schronienia, strach. I to przed kim ucieczka? Przed swoimi, roszczącymi sobie naiwnie, że są jedynie godni imienia Polaka.

Słowa opisujące napad bojówki na dom twego szwagra godne byłyby miejsca w książce pierwszorzędnego prozaika — tyle w nich niekłamanego bólu, goryczy i prawdy. Do dziś przypominam sobie twoje nerwowo stawiane litery i widzę tę noc ciemną, zachmurzoną, czerwcową... Łomotanie w drzwi, błysk latarki elektrycznej, przeraźliwy płacz zbudzonych starców i dzieci, i was obydwóch, ciebie i twojego szwagra na środku izby, otoczonych kupą uzbrojonych ludzi.

Ty słaniałeś się na nogach, głuchy szloch trząsł tobą całym. Twój szwagier przecież stał nieugięty, hardy i odważnie przeczył temu, co mu butnie, z pogardą odczytywano, targali go, jednego z najuczciwszych ludzi, jako psa, zdrajcę i łajdaka. Traktowali... Kto? Jakim prawem?

Posądzono was o komunizm tylko dlatego, żeście pracowali w Samopomocy Chłopskiej.

Wyrywają ci się ze zranionej duszy słowa rozpaczy straszliwej, niewiary i bólu. Biedny chłopcze, przywiązany jesteś do swego środowiska, jak ślepiec. Jesteś więźniem swojej wsi, złączonym z nią mimo wszelkie zniewagi na śmierć i życie, dlatego cierpisz.

Gdybyś nie kochał, mniejsze byłoby cierpienie. Mówisz, że i tu i tam jest kłamstwo i że lepsza śmierć niż takie życie. Tak nie można, Michasiu, myśleć. Wierz choć trochę w człowieka, zaufaj życiu, spoglądaj spokojniejszymi oczyma i na zło. Trzeba umieć rozumieć przeciwnika — bez tego nie ma prawdziwego pisarstwa.

Oczywiście, że marzeniom naszym dano w twarz i to najbezwzględniej. Roiliśmy o czytelnikach, o kinach, o teatrach prawdziwych na wsi, o życiu wyrwanym z ciemnoty, a tu po wojnie rozlało się to, co najczarniejsze... Pijaństwo, pycha, rozbój i zawiść.

Nie rozpaczaj, spalisz się jak płomień, masa jest zdrowsza niż sądzisz, potrafi zawrócić ze swojej szlacheckiej, saskiej drogi jednak.

Bądź zdrów, będę pisał często, będę pamiętał o tobie.

STANISŁAW PIĘTAK

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Gawrony

Wrzesień, wrzesień — wiece, koła —
ziemia goła,
raju, raju utracony!
Falango wiecowa
u nieba —
czarne krakanie ku nocy:
kolonij! kolonij! kolonij!
chleba! chleba!

Płyną, płyną zjednoczeni totaliści,
czarne koszule — faszyści,
głodne ptactwo północy —
gawrony.

EDWARD MARZEC

Zmartwiła się koniczyna

Koniczynka. Cztery listki.
Zagadnienie przecież drobne
zaprzątnęło głowy wszystkim
politykom. Tu przypomnę

historię roślinki w przyrodzie:
zrazu zielona „ścierniówka“:
wiciowa to bywa młodzież,
narybek i podmurówka.

Stąd już stronnictwo wyrasta,
kwitnie (raptem czerwienieje).
Łodyżki „Wyzwolenio — Piasta“
pachną rumianym eS—eLem.

Zmartwiła się koniczyna,
tu rozłamu sedno leży.
Spodu, czy się wierzchu trzymać?
I ma opracować tezy...

WARUNKI PRENUMERATY:

Numer pojedyńczy 4 zł. Kwartalnie (za 13 numerów) 48 zł. Zamawiając „Wieś“ należy adresować: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, dział prenumerat — Łódź, Piotrkowska 62, z zaznaczeniem: na tyg. „Wieś“.

Organ Związku Samopomocy Chłopskiej
Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

KOMITET REDAKCYJNY TERENOWY: Śląsk — Kubisz Paweł, Podhale — Nędza - Kubiniec Stanisław, Krakowskie — Frasik Andrzej, Kieleckie — Piętak Stanisław, Lubelskie — Pokora Leon (ze „Wsi Tworzącej“), Warszawskie — Kubicki Marian, Łódzkie — Bojar Józef.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96
Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.
D—05520 Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik“.